



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca na ziemi włoskiej

ROK IV Nr 41 (131)

NIEDZIELA, 3 GRUDNIA 1944 R.

CENA 10 LIRÓW

ARP.

DWA WEZWANIA

Niemal jednocześnie ukazały się dwa wezwania skierowane do Polaków, w zgłaszały się do służby wojskowej w armiach, które znajdują się lub znajdują się już pod obcym dowództwem. Na terenach general-gubernatorstwa berlińskie władze wojskowe ogłosily zaciąg „ochotniczy” Polaków do armii niemieckiej. W Moskwie marsz. Stalin wobec „prezydenta miasta” Warszawy, niejakiego Spychalskiego składał oświadczenia na temat przyszłości Polski i wywołał, że winna ona posiadać siły zbrojne „dobrze zapoznane i zdyscyplinowane, by mogły one współdziałać z armią czerwoną nad utrzymaniem porządku, pokoju, spokoju i demokracji w Europie i w świecie”.

Proklamacja niemiecka do Polaków jest prosta, a cel jej wyraźny. Mianowicie dowódcą niemieckich sił zbrojnych w general-gubernatorstwie wezwał Polaków od 16 do 59 lat, by wstępowali do armii niemieckiej. Wszyscy mężczyźni — głoszą odezwa — zdolni do noszenia broni „mogą” prowadzić walkę „u boku Niemiec”. Odezwa zapewniała, że ochotnicy polscy będą tak samo traktowani jak żołnierze niemieccy, a rodziny ich znajdują się pod opieką władz Rzeszy. Wezwaniu usasadnio, że było oczywiście koniecznością obrony przed „ bolszewizmem ” i powoływało się między innymi na znane wydarzenia związane z powstaniem warszawskim.

Dowódcą niemiecki zapowiedział oczywiście, że nie będzie stosowany przymus przy zaciągu Polaków do wojska, łatwo sobie jednak wyobrazić, w jaki sposób frazesami o wolności będzie można, w tym wypadku pokryć najpospolitszy gwałt. Dlatego prócz tej będzie powiedział, że w general-gubernatorstwie Niemcy ogłosili pobór do Wehrmachtu taki, jaki istnieje już od dawna na tak zwanych „ziemiach wcielonych” do Rzeszy. Do wielu poprzednich zbrodni dotychczasową.

Charakterystyczną stroną wszakże tej odezwy jest brak wszelkich obietnic politycznych i deklaracji patriotycznych, które zazwyczaj towarzyszą wystąpieniom mającym na celu zdobycie krwi od ujarzmionego narodu. Za wcielenie Polaków do armii niemieckiej rząd Rzeszy gość jest dać „ochotnikom” ten sam żołąd, który otrzymuje żołnierze niemieccy, zapewnić opiekę rodzinom i na tym koniec.

Już w poprzedniej wojnie Niemcy próbowali przeprowadzić mobilizację Polaków na terenach B. Kongresówki. Próby te najzupełniej zawiodły, mimo, że stosunek Niemców do ludności polskiej był inny niż obecnie, akty gwałtu, przemocy i rozboju zdarzały się stosunkowo rzadko i sporadycznie, a sami Niemcy usiłowali zapewnić wówczas Polakom pozory wolności politycznej, wydając najpierw w dn. 5 listopada 1916 r. akt o utworzeniu „państwa polskiego”, związanego z Rzeszą i Austro-Węgrami, a następnie powołując polską Radę Regencyjną jako namiastkę władz suwerennych, a także tworząc teoretycznie polską armię.

W gruncie, wszystkie te zabiegi miały wyłącznie na celu zdobycie polskiego mięsa armatniego. Fałsz polityczny obietnic niemieckich zdemaskował w końcu Józef Piłsudski odnawiając wraz ze swymi legionami przysięgę na wierność obywatelstwu niemieckiemu i austriackiemu. Szczepioną, Beniaminowem i Magdeburgiem zakończyły się ówczesne zabiegi niemieckie o polskiego żołnierza. Mimo wszelkie obudy, jaka za tym się kryła, faktem pozostaje, że Niemcy byli wtedy gotowi do ustępstw politycznych, że choć nieszczerze to przecież mówili o odbudowie „państwa polskiego”. A dziś?

Z okazji pięćciolecia general-gubernatorstwa Frank wygłosił przemówienie, w którym między innymi powiedział:

„Nie bez trudności udało nam się rozwinąć szereg zagadnień związanych z faktem, że naród Polski, siłownie i w sposób oczywisty ograniczony do okręgu swego zamieszkania, okazał się oporny w wyrzekaniu się wielu ze swych dziwacznych snów o potęgę, zniszczonych w sposób ostateczny przez bezsensowny polityczny i wojskowy awanturę, którą nierozumny rząd polski uszczęplił na jesieni 1939 r.”

Po wyrzekaniu ubolewania, że owe „sny o potęgę” oraz „krzywdyprzysięstwa Anglii” wytworzyły sytuację, w której Polacy „wciąż wahał się między fałszywymi nadziejami i głębokimi rozczarowaniami”,

Odwoływanie się do zachodnio-europejskich instynktów Polaków i przedstawianie za wykladnik zachodu Trzeciej Rzeszy, która właśnie Europę zdradziła w r. 1939, jest jednym z grubszych nadużyć mowy Franka. Brak natomiast w tym apelu najskromniejszych choćby obietnic politycznych, czy też programu politycznego na przyszłość: wyraża w sposób oczywisty i nie wymagający komentarzy niezmiennie stanowisko Niemców wobec Polaków. Za żadną od niej pomoc ludność general-gubernatorstwa czeka tylko jedna nagroda: życie po wojnie „w pokoju” pod osłoną Niemców na wyznaczonych przez nich terenach, uważanych nawet nie za części Polski (nazwa ta nadal nie jest dopuszczana do oficjalnej nomenklatury niemieckiej), ale za „strefę nadwisląską”, czy też jak

jej szerszego dążenie do „wyzwolenia” narodów europejskich... Następstwa tej taktyki, której nie można odmówić pomysłowości, przy całej jej konsekwencji stosowanej w dążeniu do realizacji istotnych celów polityki rosyjskiej, są widoczne. Oprócz efektów propagandowych na zachodzie i wywołania tam na tym le zamieszania, dała ona Rosji konkretne dobytek polityczny, a w każdym razie dopomogła do obalenia mitu Niemców jako oswobodzicieli narodów wschodnio-europejskich. Klęska Niemiec na wschodzie i w Rosji w szczególności nastąpiła nie tylko na skutek militarnej przewagi Sowietów, ale również w wyniku wyższości, jaką Związek sowiecki wykazał nad Berlinem w dziedzinie politycznej.

Marsz. Stalin przyjął niedawno nikomu nieznane Spychalskiego, który mu się przedstawił jako „prezydent m. Warszawy”. Owemu Spychalskiemu marsz. Stalin złożył szereg deklaracji na temat przyszłego urzędowania Polski, a nawet jej kierunku polityki zagranicznej. Między innymi zaś zaznaczył, że wyobraża sobie, iż po wojnie polskie siły zbrojne „dobrze uzbrojone i zdyscyplinowane” będą współdziałały z armią czerwoną, by bronić demokracji w Europie oraz w świecie „porządku, pokoju, spokoju i demokracji”.

Wypowiedzi ta przywołują na pamięć inne czasy oraz inny okres historii wojska polskiego. Przecież to po wojnach napoleońskich, w okresie kongresu wiedeńskiego car Aleksander I chciał związać z sobą i z armią rosyjską wojsko polskie, o którym wiedział, że jest dobre. On to łaskami i uprzejmościami obypywał usiłował wszystkich polskich generałów, którzy przeciw niemu w szeregach wielkiej armii napoleońskiej walczyli. Idea Polski zjednoczonej, zachowującej własny ustroj, własną armię, własny system gospodarczy i celny, a związanej z Rosją jedynie unią personalną, podsuwana carowi przez Czartoryskiego, broniła była przez Aleksandra z dużym uporem. Car chciał pozostać w Rosji autokrata, totalistą jakbyśmy dziś powiedzieli, ale w Polsce zamierzał być nie carem, lecz królem, polskim monarchą konstytucyjnym, liberalnym i demokratycznym.

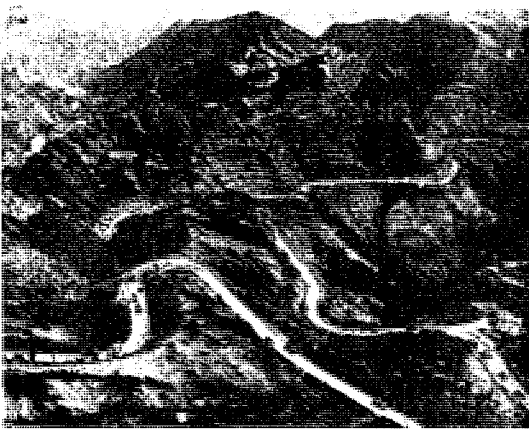
Aleksander I myślał też o polskiej armii „dobrze uzbrojonej i zdyscyplinowanej”, lecz współdziałającej z rosyjską pod jego najwyższym dowództwem w utrzymaniu porządku w Europie. Plan ten wszakże, zrealizowany później utamkowo w Królestwie Kongresowym, znalazł na kongresie wiedeńskim zdecydowanego przeciwnika w osobie lorda Castlereagha, delegata W. Brytanii.

Anglia na kongresie wiedeńskim wysuwała plan albo odbudowy Polski, jako państwa całkowicie niezależnego w granicach z r. 1772, albo też, gdyby, koncepcja ta nie przyjęła się, proponowała podział Polski, i to tylko w tym celu, by Rosja przy wcieleniu w jej granice całej Rzeczypospolitej nie stała się główną potęgą kontynentalną Europę.

Lord Castlereagh zważył nadmierny rozrost potęgi rosyjskiej. Szukał poparcia we Francji i Austrii, organizował przeciw Aleksandrowi I koalicję mocarstw europejskich, słał noty ostrzegawcze na wszystkie strony.

W nocie z dnia 12 stycznia 1815 r. pisał, że rząd brytyjski życzy sobie, by „wolność Europy nie była narażona na niebezpieczeństwa, których można by słusznie obawiać się na skutek połączenia potężnej monarchii polskiej z jeszcze potę-

(Dokończenie art. na str. 4)



Odcinek 2. Polskiego Korpusu w Apenninach

Fot. Gliwa

Frank zapewniał, że „ciężka rzeczywistość i nieublagana bliskość frontu na wschodzie” stworzyły sytuację dogodną dla „lojalnej współpracy” Polaków z Niemcami. Po dłuższym perswadowaniu, że mają do wyboru między wschodem a zachodem Polacy muszą wybrać zachód (czytaj Niemcy), Frank w ten sposób formułował stanowisko rządu niemieckiego wobec ludności polskiej:

„Niezaczynane wysiłki władz niemieckich odpowiedzialnych za administrację general-gubernatorstwa, będą zmierzają również i w przyszłości do związania okręgu nadwisląńskiego coraz ściślej za wspólnotą Europę, która walczy z siłami nocy na wschodzie, wiążąc pod protekcją Rzeszy ten kraj, jego praca i nadzieje jego mieszkańców w coraz większe mierze z zachodem. Wszystkie fakty historyczne winne to ułatwiać, gdyż naród polski jest zasadniczo świadom, że w przeszłości każde zbliżenie do sfarcejki Europy przynosiło mu dobrobyt i szczęście, gdy tymczasem po każdej próbie porozumienia ze wschodnim imperialem, w jakiegokolwiek okazywał się on postaci, następował beznamiętny okres nieszczęść i jarmaz”.
W oczach Franka general-gubernatorstwo stanowi „burząca” powstrzymująca „czerwoną i krywą fałg” ze wschodu. Frank wirując wyc Polaków do porzucenia „politycznej negacji”, a wzmiarn obietnic, że po pokonaniu bolszewizmu general-gubernatorstwo będzie uczestniczyło w dobrodziejstwach silnego pokoju zagwarantowanego przez Rzeszę w nagrodę za jego osiągnięcia w tej wojnie.

za czasów carskich mawiano „prwiślański kraj”. Na tym skrawku swej ziemi Polacy mają po prostu wegetować „w pokoju” zapewne wiecznym. Brak tylko jeszcze napisu nad błogosławioną „nadwisląską strefą”: Requiescat in pace!

To wszystko. To wszystko, co Niemcy głowili są obceca Polakom dziś, gdy mają nogi na gardle, gdy stracili już połowę zagarniętej Polski i gdy w każdej chwili mogą być odsunięci dalej jeszcze na zachód. Zresztą z okazji niedawnego przyjęcia przez Papieża ambasadora Rzeszy przy Watykanie oficjalnie zaprzeczono w Berlinie, jakoby wizyta ta miała na celu wszczęcie rokowań pokojowych, jednocześnie zaś stwierdzono, że dla Niemców byłoby „możliwy tylko taki pokój, który zapewniłby przy niemieckiego narodu i posiadanie przez niego podbitych terenów”.

Można tylko podziwiać zuchwałość Niemców, że nie kryjąc się z takimi planami, żądają jednocześnie od Polaków daryni krwi, za którą gołowi płacić tylko żołdem. Taka jest wszakże rzeczywistość Niemcy chcą tylko mięsa armatniego. Nie zamierzają natomiast zaciągać żadnych zobowiązań politycznych. Polska jako zagadnienie polityczne dla Berlina nadal nie istnieje.

A jak jest w Rosji? Trzeba przyznać, że polityka moskiewska, wykazuje znacznie więcej zrzeczności i rozmachu. Moskwa dba usilnie o stwarzanie faktów, które mogłyby być przedstawiane na zachodzie Europy i w Ameryce jako dowody jej wspaniałomyślności i liberalizmu, a także



S. B.

Wojsko wuja Sama

W jesieni 1941, na 4 miesiące przed atakiem japońskim na Zatokę Perlową, izba niższa kongresu Stanów Zjednoczonych głosowała nad przedłożeniem ustawy o powszechnej służbie wojskowej na następny rok. Wniosek przeszedł większością jednego głosu... Gdyby w owym dniu na sali Izby Reprezentantów zabrakło dwóch posłów większości rządowej, armia amerykańska musiałaby rozestać do domów pół miliona żołnierzy zmobilizowanych rok przedtem z pierwszego powszechnego zaciągu i przejść z powrotem na stany zawo-dowe, tj. ograniczając się znów do ok. 150 tysięcy wojska.

Od jesieni sesji kongresu z r. 1941, o której zresztą woli dziś nawet nie wspominać dzienniki amerykańskie, armia Stanów Zjednoczonych przysięga dłuższą drogą. W dniu, w którym wyjechał generała Bradley'a lądowały na wybrzeżach Normandii, ponad 5 milionów obywateli amerykańskich służyło poza granicami kraju. W trzecią rocznicę Pearl Harbour armia amerykańska liczyć będzie ponad 7 milionów ludzi.

Stworzenie tak wielkiej armii w ciągu trzech lat może być uznane za jedno z większych osiągnięć w historii wojskowości. Dzieło to zyskuje tym większą wymowę, jeśli się zważy, iż armia ta powstała z narodu, którego reprezentacja parlamentarna niemal żądała rozciągnięcia wojska w chwili najcięższego kryzysu drugiej wojny światowej, jaką była jesień 1941.

Byłdem okazało się ze strony ludzi z Berlina i Tokio sądzić, iż wojsko amerykańskie nie będzie mogło spełnić swej roli w obecnej wojnie. Przeciwnie w dotychczasowych walkach wykazało swą zdolność bojową i umiejscowienie sprostała wymaganiom nowoczesnej wojny. A jeżeli ostatecznie osiągnięcia Ameryki na polu organizacji i przygotowania sił zbrojnych do walki były zaskoczeniem dla obliczeń strażniczo-politycznych Berlina i Tokio, to widocznie opierać się one musiały na fałszywej ocenie obu pozycji w bilansie siły militarnej Stanów. Zestawienie stanowiska kongresu z r. 1941 z dynamiką rozwoju wojska wykazaną w następnych trzech latach, gdy wojna została w Ameryce narzucona, może być ilustracją dla gry elementów siły i słabości i siły. Jeśli państwa o rozwiniętej tradycji militarnej skłonne były oceniać potencjał wojskowy Stanów Zjednoczonych według własnych wartości nie rozumiając istotnych wartości państwa amerykańskiego, to ostatecznie lata wojny mogły im dać dobrą podstawą do lepszej oceny ograniczeń siły wojskowej Ameryki również w przyszłości.

Postawa społeczeństwa amerykańskiego w okresie 23 lat fałszywego pokoju była wężcz zaprzeczeniem idei obronności. Postawa ta sprawiła, iż zagadnienia obrony państwa zostały zepchnięte na szary koniec spraw publicznych. Wbrew wszelkiej logice europejskiej, nawet pierwsze dwa lata wojny nie wpłynęły na decydujący sposób na zmianę nastrojów. Społeczeństwo amerykańskie nie miało instynktu obronnego, ani zrozumienia dla istotnych potrzeb militarnych swego olbrzymiego kontynentu. Społeczeństwo to przejęło tradycyjną anglosaską niechęć do utrzymywania stałej i dużej organizacji wojskowej, odrzucając automatycznie tradycje militarne jak... europejskie. Parlament był tylko wernym odbiciem nastrojów większości opinii pod tym względem. Być może potrzeby obronności państwa miałyby więcej widoków w wysłuchaniu się naprzód w hierarchii potrzeb, gdyby wojsko miało w Ameryce znaczenie jako czynnik polityczny. Tak jednak nie jest. Armia amerykańska wywodzi swój byt nie z wojsk stałych, lecz z milicji narodowej.

Oficerowie amerykańscy są starannie wychowani w duchu posłuszeństwa i poszanowania dla roli, jaką przypada reprezentacji parlamentarnej w koncepcji demokratycznej.

Bezpośrednią winę za sytuację wojskową, w której Stany Zjednoczone znalazły się o krok od katastrofy, ponosi oczywiście reprezentacja parlamentarna. Wobec tego zaś, że podstawa parlamentu w zakresie zagadnień wojskowych, wynikające z amerykańskiej filozofii życia publicznego, uważaną być musi za wartość stałą, nadal w systemie politycznym leżeć będzie w przyszłości najbliższy punkt siły Stanów Zjednoczonych jako potęgi militarnej. Choć oczywiście wojska obecna wywrze znaczny wpływ na psychikę amerykańską w innym kierunku.

Jest jeszcze jeden czynnik, który był w poprzedniej wojnie źródłem wielkich trudności dla armii amerykańskiej i który

często i przed obecną wojną wysuwany był w Europie jako dowód ograniczonej słabości wojskowej Ameryki — sprawa „mniejszości” amerykańskich; a więc kwestia lojalności wobec państwa i wojska obywateli pochodzenia nieanglosaskiego — Polaków, Czechów, Litwinów, Rosjan — a przede wszystkim 15 do 20 milionów Niemców. Na to można dziś dać wyraźną odpowiedź: kwestia ta prosto przestała istnieć. Odezwąć się ona może jeszcze w dziedzinie politycznej, gdy chłodnie i bieżąco o powojenne losy krajów ojezycznych. Jeśli chodzi o Niemcy, to prawdopodobnie i tak większą rolę odgrywać będzie wpływ przedwojennej emigracji „dobrych Niemców” i części wielkiego przemysłu oraz finansjery, niż głosił obywateli amerykańskich pochodzenia niemieckiego. — Proces amerykanizacji grup nieanglosaskich tak daleko posunął się naprzód w młodym pokoleniu, iż lojalność młodzieży wszystkich narodowości i jej poczucie przynależności do narodu amerykańskiego nie może ulegać żadnej wątpliwości — nawet w wojnie z Niemcami. Pod tym względem szerszą wymowę może mieć bohaterka śmierci: na froncie włoskim sierżanta batalionu Rangers — amerykańskich Commandos — Jerzego Viereck. Dziwnym zbiegiem okoliczności sierżant Viereck zginął w zaszczytnej walce w dniu, w którym ojciec jego, Sylvester Viereck, zasiadł w Waszyngtonie na ławie oskarżonych, jako zbrojny niemiecki działacz propagandowy w Ameryce.

Pomijając czynnik polityczny — o sile nowoczesnej armii decyduje potencjał przemysłowy i ludzki. W zakresie przemysłu na długo jeszcze będzie Ameryka nie wyprzedzająca arsenału. Dość wspomnieć, iż nawet w chwili obecnej, gdy osiągnięte zostało maksimum planowanej na potrzeby wojny rozbudowy przemysłu, nie było potrzeby mobilizować więcej niż pięćdziesiąt procent potencjalnych zasobów surowców i urządzeń. I pod tym względem Ameryka miała wszystkie dane, by stworzyć pełnowartościową organizację wojskową.

W Europie skłótni jesteśmy utożsamiać tradycje militarne i tradycje walki. Ameryka istotnie nie ma i nie uznaje tradycji militarnych, natomiast nie są jej bynajmniej obce tradycje walki. Przeciwnie. Państwo amerykańskie w zaraniu swego powstania oparte było na znaczeniu walki — nie tylko z przyrodą, z wyrwaną dziesięć wieków lasom ziemią, z ogniem pręczy, z masami wod giganicznych i powodzi, lecz i upartej walki z bronią w rękę przeciwnych czołówek. Tradycje te są wciąż jeszcze bardziej żywe, niż to można sądzić w Europie. We wszystkich częściach Ameryki żyją jeszcze liczni weterani wojny domowej, która trwała cięższe lata i pochłonęła nie mniej niż sześćset tysięcy zabitych. Trwa jeszcze pamięć długolentych wojen z Indianami.

Twarda szkoła pionierów zachodu wytworzyła typ człowieka, dla którego walka była częścią życia. Dzięki temu jeszcze i dziś, pomimo traktorów i samochodów, pomimo ułatwień technicznych, pomimo zmateriałowanej filozofii życiowej, wielką rolę Ameryki zaludnia mocny i twardej typ ludzki, daleki od degeneracji i zniechęcenia. Męską siłą Ameryki uzupełniona przez wielką wojną emigracja kilkunastu milionów wychodźców ze środkowej i wschodniej Europy, rekrutujących się z elementów jeśli nie najlepszych, to w każdym razie najcięższych fizycznie. Znaczna część przybyszów przyniosła ze sobą nie tylko u-miętność i siłę do ciężkiej pracy w fabrykach i kopalniach Illinois czy Pensylwanii, lecz i tradycje walki i poświęcenia dla kraju. Dzisiejsza armia amerykańska zbiera plony tych tradycji europejskich, przekazywanych przez pierwszych emigrantów ich synom i wnukom, dziś żołnierzom gwiazdowego szlendaru.

He dała dziś armii amerykańskiej sama emigracja polska?

Nie jest przypadkiem, iż nazwiska polskie zapamiętują każdą publikowaną przez prasę listą strat czy odznaczeń. Nie ma wprawdzie żadnych statystyk procentowych o udziału w wojsku U.S.A. Amerykanów polskiego pochodzenia — tak jak nie ma pewnych danych cyfrowych dotyczących całej Polonii — ale z pewnością nie są dalecy od prawdy ci, którzy obliczają, iż ponad dziesięć procent żołnierzy amerykańskich jest pochodzenia polskiego. Wśród ochotników było ich prawdopodobnie około dwudziestu procent.

Nie ulega wątpliwości, że kadry tworzących się w pospóchnie wielkich jednostek armii amerykańskiej dostały w ręce materiału żołnierski nie ustępujący żołnierzowi

europejskiemu. Rekrut amerykański ma jeszcze jedną niezwykle cenną zaletę, wynikającą z wysokiego przeciętnego poziomu cywilizacyjnego kraju... Omawiając rolę wojsk rosyjskich w poprzedniej wojnie, Churchill pisał: „Pomimo dobrego dowództwa, pomimo interesnej pomocy alianckiej w zapotrzeniu, pomimo dużej wartości indywidualnego żołnierza, wojsko rosyjskie paraliżował brak kilku setek tysięcy ludzi, niezłąganych do obsadzenia podrzędnych stanowisk wykonawczych. Najlepsze dowództwo jest bezsilne, jeśli wielki organizm wojska pozbawiony jest systemu nerwowego. Ten system tworzą w nowoczesnej armii ludzie — korpus oficerski i niższe stopnie oficerskie — posiadający przynajmniej średnie wykształcenie ogólne i zdolni do samodzielnego myślenia oraz i-nicjatywy”.

Pod tym względem armia amerykańska była szczególnie uprzywilejowana. Postęp szkolnictwa średniego w ostatnim pokoleniu był tak duży, iż należy dziś do rzadkości rekrut nie posiadający przynajmniej „średnio” „high school” — odpowiednika polskiego liceum. Przy obecnym zmechanizowaniu wielkie ma znaczenie okoliczność, iż na dziesięciu rekrutów najwyższej jeden nie umie prowadzić samochodu. Jeśli chodzi o inne dziedziny techniki, jak radi, telefon itp. — wojsko czerpie gotowych fachowców z przedsiębiorstw przemysłowych, lub z tysięcy amerykańskich szkół technicznych. Wojskowa psychologia amerykańska stwierdza poza tym, iż postęp mechanizacji w życiu codziennym i przystępowanie ludzi od dziecka do pewnego niebezpieczeństwa, związane np. z jazdą samochodem automatycznie oswaja człowieka i wyrabia reakcje potrzebne na przykład w lotnictwie. Sład skości samo szkolenie pilotów skrócone może być do minimum, niezależnie od pomocy, jaką lotnictwo otrzymuje ze strony cywilnych szkół pilotażu i niezliczonych klubów lotniczych. — Na wyższym szczeblu organizacji wojskowej, specjalnie w zakresie gigantycznych zagadnień zapotrzenia, fachowcy cywilni z różnych dziedzin życia gospodarczego, produkcji, transportu, dystrybucji itd. byli niezwykle cennym nabytkiem dla kadry oficerskiej.

Korpus oficerów zawodowych z natury rzeczy odgrał znaczącą rolę w planowaniu i realizacji rozwoju armii. I stwierdzić dziś można, iż korpus ten okazał się dobrze przygotowany. Wojna wykazała sukces amerykańskich metod szkolnictwa wojskowego i wojskowego systemu wychowawczego. — Głównym ośrodkiem przygotowywania kadry oficerów wojsk lądowych i powietrznych, z którego wyszła większość dzisiejszych dowódców, jest szkoła oficerska w West Point. Jest to stary fort, umocniony w r. 1777 przez ówczesnego pułkownika saperów armii Waszyngtona — Tadeusza Kościuszki. Mieściąc w swych murach od r. 1825 szkołę oficerską, fort ten nie tylko oparł się Anglikom w wojnie o niepodległość Stanów, lecz również wytrzymał ataki wielu nawałtów wybijającego pacyfyzmu i antymilitarnych koniunktur politycznych. W wojnie obecnej okazał się bezcennym nabytkiem.

West Point ma w sobie coś i z angielskiej „Public School” i z polskiego Korpusu Kadetów, ale raczej z korpusu z epoki stanisławskiej. Dzięki metodom i tradycji West Point, armia amerykańska stworzyła niezwykle dodatni typ oficera zawodowego, oficera fachowego i obywatelskiego, oddanego pełnym zrozumieniem dla kształtu życia państwowego, niezbędnym dla harmonii między życiem wojskowym i cywilnym.

Pięcioletni kurs szkoły w West Point zaczyna się mniej więcej na poziomie 6-letniej klasy gimnazjum systemu polskiego Program wykształcenia ogólnego ma poziom uniwersytecki, wykszolenie wojskowe obejmuje nie tylko teorię, lecz faktyczne dowódzenie w pułkach manewrowych. Sport jako środek wychowawczy, jako środek rozwijający „team-spirit”, odgrywa wielką rolę. Tradycyjnie zespół piłki nożnej czwartego rocznika staje do rozgrywek krajowych, dorównując najlepszym drużynom zawodowym. Szkoła ponadto na swój sposób przygotowuje oficerów do zajęcia własnego miejsca w demokracji amerykańskiej. West Point prowadzi głębokie studium polityczne, z udziałem czołowych profesorów uniwersyteckich. Uczniowie wychowanków polityki, nie poto by brali w niej udział, lecz by... zdobyli spokojne zrozumienie wszystkich zagadnień państwowych i umieli patrzeć na nie bez emocji”.

West Point jest szkołą państwową. Obok niej istnieje kilka tak zwanych akademii

wojskowych, mieszczących się przeważnie w stanach południowych. Szkoły te są może pewnego rodzaju ośrodkami tradycji wojskowej, która jeszcze znajduje na południu stosunkowo najlepsze warunki przetrwania. „Akademie” dają jedynie stopnie oficerski w rezerwie i niewielu wychowanków poświęca się stałej służbie wojskowej, aczkolwiek uważane one być mogą za pewne uzupełnienie dla kadry zawodowej. Z jednej z takich szkół — Virginia Military Academy — wyszedł m. in. Jerzy Marshall. Casy ten system szkolnictwa wojskowego, który nie jako na ubożcu zagadnień państwowych, przetrwał nie tylko pierwszą światową wojnę, ale i okres złudnego pokoju, dzięki czemu armia amerykańska miała w r. 1941 kadry wprawdzie nieliczne, ale wartościowe.

Również i na wyższym szczeblu armia amerykańska okazała się stosunkowo dobrze przygotowana. Pomimo swych uprzedzeń i ignoracji w sprawach wojskowych, demokracja amerykańska zawsze dawnie dobrze umiała dobrać najwyższych dowódców sił zbrojnych. Rzecz charakterystyczną jest, iż w czasie o-talniej kampanii wyborczej, ani jedno słowo zarzutów nie padło pod adresem prezydenta Roosevelta, jako naczelnego wodza, gdy chodzi o ocenę działań wojennych i dobór czołowych postaci wojskowych. Skoro naczelne dowództwo amerykańskie istotnie zasłużyło na zaufanie społeczeństwa, skoro tacy generałowie jak Eisenhower, Bradley czy Patton istotnie dorównują generałom niemieckim, to nie dzieje się to przypadkiem, lecz jest wynikiem systemu. Wykszolenie korpusu oficerskiego dzieje się na trzy etapy: szkoła oficerska, szkoła sztabu i szkoła generałów. Sztab amerykański uważa, że do wodzenia to nie jest sprawa natężenia, lecz trudna umiejętność, i że generałowie szkolni trzeba w dowodzeniu wielkimi jednostkami i w znajomości wielkich zagadnień strategicznych tak samo, jak dowódców plutonu szkoli się w podchodzących Rólę tę spełnia „War College” w Waszyngtonie. Kandydatów na wyższych dowódców obowiązują roczny kurs w tej szkole, w której mają możność czynnego współdziałania w planowaniu strategicznym, rozpracowywując zagadnienia obrony państwa wspólnie z Departamentem Wojny i innymi ministerstwami.

Szybki i pomyślny rozwój amerykańskich wojsk lądowych i powietrznych znajdujących się w bezpośrednim stosunku do potencjału przemysłowego kraju. Ale wielka nowoczesna armia nie powstałaby, gdyby nawodził potencjał ludzki. Dziś można już widzieć, że nie zawiodła moralna i fizyczna na tężyma młodego narodu amerykańskiego i że byłoby przedwczesne utożsamiać wysoki poziom cywilizacyjny z degeneracją i słabością. Zaniedbania i błąd Stanów Zjednoczonych w pierwszej fazie obecnej wojny, wynikały może z przestarzałego systemu politycznego i specyficznej amerykańskiej filozofii izolacjonizmu, ale nie były objawami organicznej słabości narodu. Jego poziom cywilizacyjny ułatwił natomiast szybki rozwój sił zbrojnych, a w gronie ludzi odpowiedzialnych za ich powstanie i użycie znalazł niezaprzeczone wielką wartość przywódczą — „quality of leadership” — jeśli użyć pojęcia angielskiego.

Rozwój amerykańskich sił zbrojnych jest w ostatecznym rachunku wynikiem siły żywotnej Nowego Świata, jego nienaruszonej jeszcze energii, przedsiębiorczości i zdolności organizacyjnych. Daje najwyższy dowód wartości białej rasy, która na kontynencie amerykańskim znalazła prawdopodobnie warunki rozwoju najłepszego na przestrzeni całej naszej ery. Ameryka na pewno ma w sobie wszystkie elementy decydujące o pobjedze wojskowej, przy czym współczynnik liczebny daje jej pozycję wyjątkową wśród narodów cywilizacji zachodnio-europejskiej.

Wystawa druków polskich na Środkowym Wschodzie

Kierownik Archiwum Armii Polskiej na Wschodzie prosi o nadysłanie do Archiwum wszelkich wydawnictw polskich, które będą nie tylko kompletowane w Archiwum, ale równocześnie posłużą jako materiał do przygotowywanej obecnie wystawy druków polskich na Sr. Wschodzie.

Redakcja „Orla Białego” zwraca się z apelem do wszystkich oddziałów a w szczególności do Referatów Kult. i Prasy z prośbą o przesyłanie do Archiwum Armii Polskiej wszelkich własnych wydawnictw.

Cywilizacja chrześcijańska

Analiza istoty cywilizacji chrześcijańskiej jest latwa. Jak wspomnieliśmy, cztery elementy składają się na główną treść każdej cywilizacji: intelektualny, moralny, estetyczny i religijny. Odnośnie do elementu czysto religijnego, w nowożytnym słowa znaczeniu, jego opis jest oczywiste, z natury rzeczy bardzo trudny. Nie, co lepsze, ale też bardzo źle, przedstawia się sprawa w dziedzinie estetycznej, zwłaszcza sztuki; i tu bije wprawdzie w oczy różnica zachodząca między sztuką naszą a obcą, ale na czym ta różnica polega, o jakich podstawiach wyraża, powiedzić jest niełatwo. W rezultacie jesteśmy odrzućeni do sfery etycznej, a zwłaszcza do intelektualnej — powiedzmy dokładniej, do poglądu na świat, który zresztą ze sfery etycznej łączy się niezmiernie ściśle. W tych dziedzinach można z pewną jasnością definiować i starać się uściślić pojęcie naszej cywilizacji.

Może najlepszą metodą takiej próby uściślenia będzie zastanowienie się nad czynnikami, które w genecie współczesnej cywilizacji chrześcijańskiej odegrały rozstrzygającą rolę. Takich czynników pierwszorzędnych ja osobiście widzę trzy i tylko trzy: myśl grecką, Ewangelię i rzymskie prawo. Gdybyśmy szukali myśliciela, w którym działanie tych trzech moży najsilniej się przejawiało i najharmonijniej współdziała w tworzeniu całości — bodaj nikt nie byłby bardziej reprezentatywny od św. Tomasza z Akwinu. Myśliciel wielkiej szkoły greckiej, tak greckiej, że jest pewnego rodzaju fenomenem dziwowym, sam zresztą pierwszego renesansu główny twórcą i przedstawiciel, był równocześnie świętym prawdziwego zdarzenia, o typie życia i ideału religijno-etycznym niezwykłe bliskim św. Franciszkowi z Asyżu. Ale zarazen w każdym jego piśmie, na każdej stronie przemawia oprócz Ewangelii i Hellady coś trzeciego i nowego: Ius Romanum, prawo starożytnego Rzymu.

Naturalnie spotkam się z zarzutem, że po św. Tomaszu przyszedł do głosu nowy czynnik: John Locke — encyklopedyści — rewolucja francuska, a równolegle z nią materializm kulminujący w marksizmie. Ja sam tak myślałem i wydawało mi się wtedy, że nowa synteza europejska musi obejmować cztery czynniki: rewolucję francuską (aby użyć skrótów) poza tamtymi trzema. Dopiero Whitehead, myśliciel tak niestyly mato znany u nas, zwrócił moją uwagę na oczywisty, zdawałoby się, fakt, że rewolucja francuska, jeśli ją odczytnie z elementów naszej cywilizacji wrogich, wywodzi się bez reszty od myśli greckiej, skąd po przez scholastykę płynie racjonalizm, a zarazem z chrześcijaństwa, którego logicznym zastępowaniem — dojrzałością społeczną — są tezy o równości, dla tej rewolucji najistotniejsze.

Nawet jednak stanowiący na gruncie naszkicowanej powyżej teorii tróisteo kerczenia naszej cywilizacji można dostrzec, w jakiej jej najbardziej istotnych cechach w różnych bardzo składowych myśli i etyki. Wbrew dość powszechnie panującym poglądom wydaje mi się np., że dla chrześcijańskiego poglądu na świat nie jest wcale najważniejsze pojęcie Boga. Nie twierdzą, oczywiście, by ten pogląd na świat mógł się bez pojęcia Boga obejść, sądzę jednak, że nie to pojęcie odegrało najważniejszą rolę. Ostatecznie, bardzo zbliżone pojęcia Bóstwa posiadają inne kręgi cywilizacyjne i inne religie, (np. Islam), a rezultaty etyczno- społeczne są zgoła różne.

Natomiast tezę poglądu na świat najzupełniej podstawową, światoburczą w pewnym znaczeniu, rewolucyjną w każdym, t. j. która leży u samych podwalin naszej cywilizacji, jest chrześcijańska nauka o duszy ludzkiej. Nauka ta istnieje w zarodku już u Platona, ale aż do Ewangelii nie znalazła nigdzie precyzyjnego i pełnego wyrazu. Na niej oparte są i koło niej skupiają się z jednej strony najważniejsze dla cywilizacji tezy myśli filozoficznej greckiej, z drugiej, w tym co istotne, prawo rzymskie. Jej logicznym rozwinięciem jest, mimo spacji, które ta ostatnia zawiera, myśl rewolucji francuskiej. Na niej stoi i z nią paś: musi ideologiczna strona naszej cywilizacji.

Aby móc zrozumieć całą doniosłość tej koncepcji, trzeba — jak zawsze w dziedzinie wielkich problemów — sięgnąć do ojca myśli europejskiej do Platona. U niego, jak wiadomo, istnieją dwa różne światy: ten ziemski, na którym nie ma niczego poza wiecznie zmiennym prądem zjawisk, świat Heraklitowy, będący jednym pado-

łem ciągłej walki i przemijających obrazów — i drugi, nadrealny świat niezmiennych Idei. Prawda, piękno i dobro, wszelka wartość i wszelki byt istnieje naprawdę tylko w tym drugim świecie. Na ziemi rzecz każda warta jest tyle — o tyle jest prawdziwa, dobra i piękna — ile „ma udziału” w Idei. Ale na tej samej idei istnieje coś, co nie będąc Ideą, przećwieka ma w Idei udział jakiś większy, jest czymś pośrednim między padodem walki i zmiany a samą Ideą: ludzka dusza. To jej stanowisko pomaż można przede wszystkim po tym, że choć żyje w zmiennym świecie, poznaje rozumem Ideę i rządzi się w Idei idealnymi prawami.

Prawdopodobnie niewielu ludzi zdaje so-



Ks. biskup połowy Gaulina odprawia nabożeństwo w 2. Korpusie

bie sprawę z obrzytniej wagi tych twierdzeń dla oceny stanowiska i roli człowieka na ziemi. W rzeczywistości, trudno jest ich znaczenie przesadzić. Z jednej strony wynika z nich tak podstawowa teza naszej cywilizacji, jaką jest racjonalizm, przekonanie, że człowiek może i powinien poznać prawdę przedmiotową, niezależną od jego uczuć czy potrzeb — i że wyposażony jest po temu w niezwykły organ, zwany rozumem czy intelektem. Już użnanie tego organu jest sprawą kapitalnego doniosłości. My, Europejczycy, i my tylko, wytworzyliśmy, wskutek uznania tej tezy naukę bezosobową i obiektywną. Nawet w najbliższym nam duchowo kręgu cywilizacyjnym, w Indiach, gdzie powstała nawet logika, każdy jej podręcznik zaczyna się od rozważań pozytywistycznych: tej nauki — rzeczą u nas nie do pomyślenia. Ale istotną sprawą w tym wszystkim jest uznanie, że człowiek, indywidualna osoba ludzka, jest w jakiś sposób wprost przyporządkowany do Absolutu, do czegoś nad-ludzkiego i nad-ziemskiego, bez względu na to, czy nazwiemy to Coś ideał platońskim, pierwszym motorem arystotelesowskim, transcendentną jaźnią Kanta, czy chrześcijańskim Bogiem. Z chwilą uznania tej tezy, dusza ludzka wyniesiona została odrazu niebotycznie ponad cały świat i stała się czymś, co w braku innego wyrazu nazwać musimy świętym i czcigodnym.

Przy tym nie tylko racjonalizm platoński funduje tej tezę. Sama dusza, z zaświataw pochodząca, jest u Myśliciela tylko „przyładkiem” na ziemi. Nie tu jej cel, ale w świecie Idei. W kontekście pełnej doktryny tezy o godności człowieka, istoty, radykalnie różnej od wszystkich innych bytów, występuje z całą jasnością jako kamień węgielny naszego sposobu myślenia. Ona ma jakby dwie strony: z jednej gósi wyższość człowieka ponad przyrodę, z drugiej uczy, że to wyższość człowiek zawdzięcza nie sobie, nie swoim właściwościom fizycznym, sprytność, stosunkom, czy cemukolwiek innemu, ale propositu faktowi, że jego psyche do innego świata należy. Teza platońska o duszy wywyższa ją nieskończenie dlatego właśnie, że ją podporządkowuje bez reszty Idei, obiektywnej formie i wartości. Wiara, że taki świat nad-ludzki i nad-empiryczny istnieje, że każdy człowiek, nawet najmniejszy, go reprezentuje, jest właśnie tą wielką rzeczą, jaką, teoretycznie przynajmniej, dała nam Hellada.

Chrześcijaństwo nie tylko udostępniło tej myśli szeroki masom (bez niego pozostałaby ona udziałem tylko ludzi wybranych

w typie Marka Aurelega), ale co więcej wzmościło ją niezmiernie przez swoje własne wielkie twierdzenia. Najpierw, chrześcijaństwo ma swoją doktrynę soteriologiczną^{*)}, która, wbrew temu, co o niej ciągle się pisze, jest doktryną czynu. Ucieczka od życia nie była nigdy jego ideałem dla mas, ale głosiło ono zawsze konieczność pójścia przez życie do Boga. Teza ta jest bardzo obstronna przez dogmat Wcielania, zgodnie z którym sam Bóg chciał mieć udział w ludzkiej wydrówce. Ten zasadniczy dogmat chrześcijaństwa ma jeszcze inne aspekty: i tak, Chrystus ginie na Krzyżu po pierwsze śmiercią proleciarską, po drugie umiera za wszystkich ludzi, bez wyjątku, z mocnym podkreśleniem

prawa rzymskie. Jak odnośnie do myśli helleniści i do chrześcijaństwa, tak i tutaj dopiero spotkanie oko w oko z ludźmi, którzy swego poglądu na świat nie opierają na rzymskim prawie, pozwala nam dostrzec jak ogromną i jak dobroczynną siłą było Ius Romanum. I ono wywodzi się, a przynajmniej, wywieść się daje z tych samych greckich założeń myślowych — a mianowicie z wiary w istnienie przedmiotowej niezmiennej prawdy i prawa. Ale prawo rzymskie to skonkretyzowanie tej wielkiej myśli w wielokrotnej postaci. To, z jednej strony odrzucenie podmiotowego pojęcia winy i kary w zależności od kaprysów takiego czy innego władcy; to koncepcja równości wobec prawa dla wszystkich, nawet dla największego zbrodniarza; to wreszcie przedstawienie tych ogólnych zasad w niezmiernie praktycznej, konkretnej i prostej formie, której np. dla równości politycznej dotąd znaleźć nie potrafiliśmy. Nie zdziwimo, że chrześcijaństwo, zwłaszcza z chwilą gdy zwróciło się na początek drugiego tysiąclecia swego istnienia ku czystej myśli greckiej, nieskażonej wpływami Wschodu, uznać musiało prawo rzymskie za integralny składnik cywilizacji, którą samo tworzyło w Europie. Dodajmy, że prawo rzymskie jest tym jej składnikiem, które dzisiaj najbardziej jest bodaj zagrożone i największego uszczerbku już doznało pod ciosami rozpasanych barbarzyńców.

Jeśli teraz rzucimy okiem już nie na źródła, ale na współczesną strukturę cywilizacji chrześcijańskiej, wolno się nam pokusić o następujący opis jej ideologiczno-etycznego aspektu. U podstaw leży hellenicka wiara w istnienie niezależnego od człowieka nadludzkiego świata niezmiennych praw, zasad i norm; my chrześcijaństwo nazwamy ten świat Bogiem, ale nawet ci z nas, którzy w Boga nie wierzą, przecięli od nas wiary w istnienie czegoś, co Go im zasługę w tym względzie. To jest sprawa pierwsza. Następnie człowiek — każdy człowiek bez wyjątku — jest zgodnie z naszą wiarą bezpośrednio przyporządkowany do Boga, w ten sposób, że tym samym nie jest tylko częścią przyrody, ale czynnym znaczenie więcej: w szczególności, dzięki temu przyporządkowaniu posiada z jednej strony prawa, których mu odbierać nie wolno, z drugiej obowiązek czynu, od którego żadna moc ziemską nie może go zwolnić.

Na tę ostatnią stronę, niejasno zarysowaną w myśli helleniści, ale leżącą u podstaw rzymskiej koncepcji prawa i z całą siłą głoszoną przez Ewangelię, trzeba położyć szczególny nacisk: przynależność do cywilizacji chrześcijańskiej znaczy przynależność do ideału, obowiązku i czynu indywidualnego, za który każdy indywidualnie w sumieniu odpowiada. Dalej, wobec istnienia tej strony nadziemskiej w człowieku, on sam nie może nigdy być tylko narzędziem, ale jest zawsze cel: żadne państwo, naród, — tym mniej jednostka — nie ma prawa go sobie bez reszty podporządkowywać: w terminologii chrześcijańskiej mówimy, że człowiek jest nie indywidualnie, ale osobą. Wreszcie, skoro tak jest, jesteśmy zasadniczo równi: możemy cennie kołogo za jego cnotę, geniusz czy wiedzę, i słuchać w imieniu prawa przełożonego, ale sumienie zabrania nam uznawać nad-ludzi, fuhrerów, władców życia i śmierci czy innych pseudo-bogów — tak jak każde nam (choć niechętnie jeszcze to czynimy) odrzuć kasty, klasy czy inne podziały, śmieśne i przeciwnie etyczne wobec tego, że wszyscy braćmi jesteśmy jednej wielkiej rodziny dzięki wspólnemu ojcostwu Boga i wspólnej zasadniczej doli.

I to wszystko nie jest tylko teorią. Cywilizacja chrześcijańska weszła nam w krew i widok działania naszych ludzi, nawet najmniejszych, zwłaszcza w obliczu obcych, świadczy wymownie o jej wielkości, od suchego wyliczenia uznawanych przez nas prawd.

Takiego połączenia godności, dobroci i mocy, jaką ona wytworzyła, na próżno szukałbyśmy gdziekolwiek w świecie poza jej zasięgiem.

Występują u nas naturalnie liczne i ciężkie niedociągnięcia. Trzeba jednak pamiętać, że najgorsze rzeczy u nas są jeszcze lepsze od tego co widzimy u innych, że odrzucenie naszej cywilizacji to powrót do pierwowzoru, co znamy z dziełw starożytności i pierwszych ciemnych wieków średniowiecza, że wreszcie odrodość to dorobek wielu wieków, które odrzuceniu w chwili, gdy

*) Soteriologia — doktryna o zbawieniu.

(Dokończenie na str. 4.)

ANDRZEJ ZUSKŁO

Recepty ustrojowe dla Europy

Koncert trzech imperiów, rządzący antyniemiecką koalicją zjednoczonych narodów mijających wolność i demokratycznych, to jak wiadomo ZSRR, W. Brytania i Stany Zjednoczone A.P. Przedstawiciele tych mocarstw zjeżdżają się co czas powieć i omawiają powojenną organizację świata, a w szczególności Europy, która jest głównym przedmiotem ich zainteresowań trosk, a także politycznych i gospodarczych dążeń.

Trzy mocarstwa na swoich zjazdach ustalają międzynarodowy układ stosunków, czyli sferę wpływów, na które Europa ma być podzielona i granice państw po wojnie, co jest powszechnie wiadome i staje się tematem otwartych dyskusji prasowych. Kiedy jednak bliżej rozważać sytuację wewnątrz państw europejskich, kolejno wzywaliśmy, trudno nie zwrócić uwagi, że wszystkie one od Włoch począwszy, a dalej zarówno Francja i Belgia, jak Jugosławia i Grecja, otrzymują po oswojeniu systemu rządzenia oparty we wszystkich tych krajach na tej samej podstawie i uderzają do siebie podobny.

Wszędzie powstają i są używane przez wojskowe władze sprzymierzonych jedynie rządy zupełnie analogicznych koalicji stronnictw, w których obowiązkowo występują przede wszystkim komunisty na skrajnej lewicy, potem socjaliści normalnie z nimi sprzymierzeni, a następnie jakieś dwa lub trzy stronnictwa klasowe innego typu, albo tzw. demokratyczne, czy też chrześcijańsko-demokratyczne. Stronnictwa te występują zwykle w bloku jako „Komitet Wyzwolenia Narodowego” i odznaczają się bezwzględą wyjątkowością. Partia polityczna znajdująca się poza blokiem nie jest uznawana za wyraz jakiegokolwiek odłamu opinii publicznej, nie jest dopuszczana do rządu i zwykle traktowana jest jako „niedemokratyczna”, albo faszystowska, bez względu na to, jaki był i jest obiektywnie jej stosunek do faszyzmu, względnie nazizmu. Szczególnie zaś ostro bywa pigmowana, jeśli stanowisko jej jest przeciwne komunizmowi i przedstawiciele jej ośmielają się stwierdzić np. prawdę, tak oczywistą, że Rosja jest państwem totalistycznym a partia komunistyczna posiada idee, nie mające nic wspólnego z demokracją.

Krótko mówiąc powstaje wszędzie, jak za dotknięciem różdżki czarodziejkiej szablonowy dyktariat stronnictw, monopolizujący władzę bez żadnych tytułów prawnych i wszędzie znajduje poparcie

aliantów. Jedynością tego szablonu jest naprawdę uderzająca. Czyżby rzeczywiście wszystkie narody od Kanalu La Manche do Morza Egejskiego chciały z własnej woli rzucić się w taki sam spław?

Hipoteza jest mało prawdopodobna. Wszystko przemawia za tym, że recepta na ten system rządów przychodzi z jednego źródła. Z jakiego?

Będący wyrazem owego systemu owi szablonowi blok, zespół koncertu czy frontu stronnictw — jakkolwiek go nazwać — jest wybitnie transparentny na stosunki wewnętrzne atmosfery zjawid między narodowych trosk układających się mocarstw, czyli Rosji Sowieckiej, W. Brytanii i St. Zjednoczonych.

Jest rzeczą pierwszorzędno znaczącą dla narodów europejskich dach swoje sprawy, czy wprowadzany w ich wewnętrzne życie państwowe system, obmyślony dla nich przez czynniki wewnętrzne, naprawdę im odpowiada i dobrze będzie im służyć.

Posiadający sankcję koncertu mocarstw zespół stronnictw ma być przede wszystkim szczerze demokratyczny, szanujący wolność i prawa jednostki, ożywiony dobrą wola współpracy wzajemnej i wyrażający się używaniem siły w stosunkach wewnętrznych. Grupy polityczne wywodzące się z totalizmu, nazistowskiego lub faszyzmu, są wyłączone właśnie z obawy, że mogłyby ducha takiego wprowadzić.

Wszystko to mogłoby być logiczne, gdyby nie jedno wielkie „ale”, które obala logikę systemu. Oto w zespole tych demokratycznych grup znajduje się obowiązkowo również partia komunistyczna, która nigdy nie była i nie jest ożywiona duchem ani demokracji, ani liberalizmu, ani zgodnej współpracy z innymi stronnictwami. Jest to partia dążąca z istoty swojej do monopolu władzy, programowo uznająca metody gwałtu i reprezentująca ideę dyktatury proletariatu oraz opartego na niej państwa totalistycznego. Jest to dawno sformułowany i bynajmniej nie zmieniony program bolszewizmu, nad którym warto się zastanowić zwłaszcza dzisiaj, kiedy partia komunistyczna ma stanowić powszechny współczynnik „demokratycznego” ustroju powojennej Europy.

Lenin w książce „Państwo i Rewolucja”, będącej katechizmem komunistycznej polityki wewnętrznej, pisał rzeczy godne najwyższej uwagi. Dotyczą one przede wszystkim tego, jak należy roz-

mieć idee dyktatury proletariatu, która jest zasadniczym punktem dążeń bolszewizmu.

„Proletariat — czytamy — niezbędna jest władza państwowa, scentralizowana organizacja sił, organizacja przemoc, w celu złamania oporu eksplloatatorów, dla kierowania obrzmią mas ludności, chłopstwem, drobną burżuazją, półproletariatem w sprawie zaprowadzenia gospodarki socjalistycznej... (str. 52).

„Dyktatura proletariatu nie może być następstwem pokojowego rozwoju burżuazji społeczeństwa i burżuazji demokracji — może ona wynikać jedynie z rezultacie złamania burżuazji maszyny państwowej, burżuazji armii, burżuazynego aparatu urzędniczego, burżuazyni policji” (str. 2).

„Naukowe pojęcie dyktatury — pisze Lenin — oznacza nie cò innego, jak w niezmiernie nieograniczoną, żadnymi prawami, żadnymi absolutnie prawidłami nie skrópaną, bezpośrednią na przemocy opartą władzę... Dyktatura oznacza nieograniczoną opartą na siłę, a nie na prawie władzę. W czasie wojny domowej wszelką zwycięską władzą może być tylko dyktatura. (Dzieła Lenina, tom XXV str. 44).

„Dyktatura proletariatu jest to wojna najbardziej bezwzględna i bezlitosna nowej klasy przeciw potężniejszemu wrogowi, przeciw burżuazji, której opór jest uciążliwym, wielokrotnym... jej obaleniem”, „dyktatura proletariatu jest to wytrwała walka, krwawa i bezkrwawa, prowadzona przemocą i pokojowo, wojskowa i gospodarcza, pedagogiczna i administracyjna, przeciw siłom i tradycji starego społeczeństwa” (tj. w str. 173 i 190).

„Dyktatura proletariatu powstaje nie na podstawie burżuazynych porządków, lecz w trakcie ich złamania, po obaleniu burżuazji, w trakcie wywłaszczania zmiem i kapitalistów, w trakcie socjalizacji; podstawy nowych narzędzi i środków produkcji, w trakcie opartej na gwałcie rewolucji proletariackiej. Dyktatura proletariatu jest to władza rewolucyjna oparta na przemocy nad burżuazją...”

„Krótko mówiąc: dyktatura proletariatu jest to nieograniczone prawem i oparte na przemocy wladztwo proletariatu nad burżuazją, mające za swój ucucia i poparcie pracujących i eksplloatowanych mas” (Państwo i rewolucja str. 57).

Po zapoznaniu się z programem partii komunistycznej w zakresie polityki wew-

nętrnej, poszukajmy odpowiedzi, jak bolszewizm wyobraża sobie najwłaściwszą drogę prowadzącą do urzeczywistnienia dyktatury proletariatu. I na to znajdujemy odpowiedź:

„... Republika demokratyczna — pisal — stanowi najbliższy etap do dyktatury proletariatu. Albowiem republika taka, w niczym nie usuwając panowania kapitału, a więc ucisku mas i walki klasowej nieuniknienie prowadzi do takiego rozszerzenia, rozwinienia, ujawnienia i zaostrezenia tej walki, że kiedy zjawi się możliwość zaspokojenia zasadniczych wymagań mas uciskanych, to możliwosc jedynie i wyłącznie urzeczywistnienia w dyktaturze proletariatu, w kierowaniu tych mas przez proletariatu” (tj. w str. 90 — 91).

Chodzi więc o ustroj, w którym rząd byłby na tyle słaby, aby można było pod nim utrzymywać ciągły stan chaosu i walki klasowej. Tego rodzaju rząd daje idealne warunki, jako etap przejściowy do rewolucji komunistycznej i do wprowadzenia dyktatury proletariatu. Rządy tego typu, powszechnie zwane „kiersejczyzną”, były już przed wojną w rozmaitych krajach zalecane, albo forsowane przez komunistów. Wystawiano wtedy koncepcję, która nosila nazwę „frontu ludowego”.

Trudno nie przypomnieć sobie tego wszystkiego dzisiaj, gdy tworzy się wszędzie niedość rządy zespołu stronnictw demokratycznych z dodatkiem jednak partii komunistycznej. Trudno nie zastanowić się nad tym, czy aby nie chodzi tu o system rządzenia, odpowiadający bardzo ściśle temu idealowi, który bolszewicy uważają za „najbliższy etap do dyktatury proletariatu”. Wszystkie te zjawiska polityczne, które obserwujemy obecnie w Grecji czy we Włoszech, w Belgii, czy we Francji, bynajmniej temu nie zaprzeczają.

Przypisywane Europie przez pozacuropejskich lekarzy rządzący zespół stronnictw sprawia wrażenie zagrody ministerialnej, do której wpuszcza się kilka baranków demokratycznych i jednego komunistycznego wilka. Następnie oczekuje się, że w zagrodzie tej będzie panowała chrześcijańska miłość i demokratyczna wolność przekonań.

Czyżby mocarstwa demokratyczne naprawdę i po gruntownym namyśle życzyły sobie takiej sytuacji?

DWA WEZWANIA

(Dokończenie art. ze str. 1.)

większym imperium rosyjskim, oraz w wypadku, gdyby siły zbrojne tych dwóch państw znalazły się w przyszłości w rękę jednego księcia ambitnego i wojowniczego”.

Lord Castlereagh, jak widzimy, posiadał niezwykłą, jak na obecne wymagania poczucie równowagi politycznej w Europie, a poza tym na pewno miał dobre wyobrażenie o żołnierzu polskim i wolał nie zasilać nim potencjału Imperium Aleksandra I.

Jego opory na kongresie wiedeńskim nie dały nam najlepszych rezultatów. Koncepcja odbudowy Polski niepodległej w granicach z r. 1772 okazała się raczej chwytem taktycznym, niż poważnym postulatem politycznym. Pozostał wszakże ślad w historii wysunięcia planu odrodzenia dawnej Rzeczypospolitej właśnie przez Anglię, mimo, że nie miała ona wówczas żadnych zobowiązań politycznych wobec Polaków, którzy w większości swej walczyli przeciw niej w szeregach Napoleona I.

W wyniku rywalizacji anglo-rosyjskiej w Wiedniu zrodziło się jako szczyt dawnej Rzeczypospolitej Królestwo Kongresowe z odrębną armią polską, która bardzo szybko stała się jedną z najlepszych w Europie. Historia nas dokładnie poucza, jak wyglądało współdziałanie tej armii z armią rosyjską, jak wielkie rozdziło konflikty, które w końcu wyładowały się w powstaniu listopadowym. Zbyt wielką była w szczególności przepaść w odnośieniu się zwłaszcza do człowieka, szeregowego i oficera, między naszymi pojęciami a pojęciami woźdża tej armii, wielkiego księcia Konstantego, by współpraca polsko-rosyjska na polu wojskowym mogła się utrzymać. Koncepcja Królestwa Kongresowego związanego z caratem zamalała się pod obuchem faktów. Współżycie polsko-rosyjskie prowadzić mogło tylko do konfliktów, zgo-

da między obu narodami mogła nastąpić tylko w warunkach wyraźnego ograniczenia ich w każdej dziedzinie. Oto lekcja, którą przekazała nam historia.

Jeżeli tak było za czasów Aleksandra I, który chciał się, że jest zachodnim Europejczykiem, liberałem, monarchą postępowym — to co mówić o chwili obecnej, gdy różnice cywilizacyjne wytworzyły przepaść obyczajową między Rosją sowiecką a Polską nie tylko w warstwach tak zwanych „borynych”, jak to gdzieś niedgębie przypuszczają, ale w masach ludowych najszerzej pojętych.

Jesteśmy zresztą przekonani, że mamy te — które w kraju tak świątyni zdają egzamin z patriotyzmu bez cudzoystwów oraz z głęboko zakorzenionego instynktu państwowego — potrafili znaleźć właściwą odpowiedź: na wszelkie apele, skądkolwiek by one pochodziły, które chciałyby uczynić z żołnierza naszego mięso armatnie rzucające wojnie w cudzym interesie. Ale nie zmniejsza to niebezpieczeństwa zamętu w okresie, w którym żołnierz polski będzie szczególnie pożądanym nabytkiem dla niektórych wyczerpanych mocarstw.

W miraż oszadbania Europy armie sprzymierzone natrafiają będą na coraz większe skupienia Polaków, rzuconych przez wojnę na obczyznę. Będą to przezwane przymusowi wysiedleńcy, robotnicy zeżłani na ciężkie roboty za granicę, emigranci dobrowolni i t.d. Ludzi tych trzeba będzie wprzągać w tryby polskiej machiny wojennej i wlezać ich do wspólnego narodowego wysiłku. Zabieg ten jednak spotkają się z kontrakcją propagandy wrogiej.

Niedawno speaker radia polskiego w Londynie odczytał apel do Polaków zamieszkałych w Niemczech. Apel ten odwoływał się do nich, by nie dawali posłuchu propagandzie niemieckiej, która usiłuje

zbałamuć: ludność polską obiecywaniem podwyższenia racji żywnościowych za cenę współpracy z Niemcami. Apel wzywał natomiast Polaków do skupiania się przy rządzie polskim w Londynie jako jedynym i prawdziwie legalnej władzy polskiej.

Jest to prawda. Ale wartością rządu polskiego w Londynie nie może być wyłącznie jego legalizm, lecz przede wszystkim jego niezależność polityczna, umóh, wająca mu obronę suwerenności i całości Rzeczypospolitej. Jeżeli chcemy, by w wyniku wzmożonej i podwójnej akcji propagandowej mającej doprowadzić do zblamowania Polaków w kraju i za granicą, nie powstał wśród nich zamęt, jeżeli chcemy, by widzieli oni jasno i wyraźnie, gdzie znajdują się standardy walczących o prawdziwą wolność Polski i Polaków, program niepodległości i całości Rzeczypospolitej oraz cele wojenne państwa muszą być stawiane wyraźnie i dotkliwie niż kiedykolwiek, przez czynniki do tego powołane.

Nie należy się ludzi. Wchodzimy w okres chaosu w Europie, w okres, w którym powstawać będą fałszywe próby, by się zamęt na całym kontynencie, a w szczególności w Polsce. Władze odpowiedzialne za prowadzenie polityki polskiej nie mogą zatem swym postępowaniem kompromisowym, zamazanym i słabym za cierać różnic między działaniem prawdziwej polskiej, a o bęą intrygą i wrogim podstępem. W obecnej chwili dziejowej Polsce, gdziekolwiek się znajdują, winni mieć możność łatwego rozróżnienia i wyboru między złem a dobrem, między ziarnem a plewami.

Piszemy to słowa w chwili, gdy w Londynie doszło do kryzysu rządowego. Obie przesłanie to, mające głębsze podstawy i uzasadnione przyczyny, wytworzyło sytuację, w której idea prawdziwej niepodległości mogła być głoszona bez skrópania przez te czynniki, które powołane są jednocześnie do jej odważnej realizacji w najcięższych choćby warunkach. Głos Polski winien brzmieć dziś w świecie głosem i czysto.

Awp.

Cywilizacja chrześcijańska

(Dokończenie ze str. 3.)

wszystko wskazuje, iż stoimy w przedzie dnia wielkiego triumfu idei i swiętych jej wyników, jest największym bezrozumem i największą zbrodnią zarzem.

Zrozumienie dla tych prawd zaczyna się u nas budzić. Powoli, ale przecież zaczyna. Wyczuć naszej wspólnoty cywilizacyjnej przesłonięte się ciągle jeszcze przez opary sobkowiskowego, ciasnego, pół-zwierzęcego nacjonalizmu, wskutek którego powierzchowny obserwator dostrzeże w Europie tylko gromadę małych narodów szamałajających się między sobą nad przepaścią, bez myśli o konieczności wspólnej obrony. To, co się znami, Polakami, w tej chwili dzieje, jest jaskrawym dowodem, jak jeszcze wiele jest drogi do przebycia. Ale, mimo wszystko, zrozumienie sprawy się budzi: nie darmo niektórzy mówiąwe stau muszą używać aż tyle energii i tyle słów, aby przekonać swóje ludy, że sprawa Polski jest właściwie nieważna. Jeśli wolno wypowiedzieć swój osobisty pogląd, jestem optymistą: mam przeświadczenie, że Europa jest jeszcze wielką siłą, która się zmierzyc nie da.

Jakkolwiek by jednak było, cokolwiek by nam gotował los, jedno jest pewne: zgodna z naszą cywilizacją postawa ducha, wabraną w pełnieniu obowiązku oglądając się na to co i ni i czynią. Każdy z nas musi działać zgodnie ze swoim sumieniem. A głos tego sumienia jest dziś jasny i nie pozostawia wątpliwości: nakazuje walkę o cywilizację chrześcijańską, do końca i bez pardonu.

I. M. Becheński O. P.

Tragiczny bilans

Pod tym tytułem zamieścił 15 listopada br. „Biuletyn Obowozu 3 Korpusu” obszernie osiadczenie dyplomatycznego korespondenta PAT'a stanowiące zestawienie rezultatów polityki p. Mikołajczyka. Oświadczenie to stanowi; również, pochodzące z naszych kół oficjalnych sformułowanie stanowiska p. Mikołajczyka w obecnej sytuacji jeszcze przed jego dymisją.

„Od chwili powrotu premiera Mikołajczyka z Moskwy rząd polski stanął przed powzięciem decyzji, od której zależało może cała przyszłość polskiego państwa i narodu. Rozmowy moskiewskie wydały się wskazywać, że rząd polski ma przed sobą tylko dwie alternatywy, albo zgodzi się na mniejsze czy większe korekty granic, lecz na kompletną przebudowę geograficzną podstawy Polski — albo przez odmowę umożliwi Rosji załatwienie polskiej sprawy decyzją jednostronną przy pomocy „Komitetu Wyzwoleńca” narzuconego narodom baginetami rosyjskimi. Ta ostatnia ewentualność pozbawi rząd polski wszelkiego wpływu na przyszłe losy państwa polskiego, za które jako legalny rząd ponosi on pełną odpowiedzialność. Decyzja przeniesienia geograficznego punktu ciężkości Polski na zachód, pomiędzy Odrę a t. zw. „linię Curzona” powzięta została na życzenie Rosji, lecz nie tylko Rosja ponosi za nią odpowiedzialność. Decyzja ta powzięta została prawdopodobnie w Teheranie jako wspólny plan anglo-rosyjski — jak twierdzą — przy mileczącej zgodzie Stanów Zjednoczonych (Podkreślenia red. B.O.) Bez względu na to, że decyzja ta powzięta została w drodze bezwzględnej, bez wyłączenia bez wysłuchania strony polskiej i bez wzięcia pod uwagę jej słuszných życzeń, decyzja ta uważana jest przez W. Brytanię jako jej samowładna i jej zobowiązania wobec Stanów Zjednoczonych w Teheranie powodują silną presję, jaką wywiera ona na rząd polski. Wszelkie zastrzeżenia i protesty rządu polskiego poparte najsilniejszymi, prawnymi, konstytucyjnymi, politycznymi i moralnymi argumentami, mającymi, na celu odwołanie decyzji w sprawie granic do konferencji pokojowej — nie osiągnęły rezultatu wobec silnej presji Rosji. Rosja chce mieć problem granic załatwiony bezwzględnie i odmawia czekania na orzeczenie przyszłej konferencji pokojowej. Nie ma wątpliwości, że zależy jej na uzyskaniu uznania dla jej żądań terytorialnych przez legalny rząd polski, jako że takie uznanie rozstrzygnęłoby sprawę definitywnie i zapobiegłoby jej przyszłemu powstaniu. Rząd polski uparcie obstawał przy tym, że nie może powziąć ostatecznej decyzji w odniesieniu do granic Polski podkreślając, że krzywdy narzucone Polsce, takie jak pozbawienie jej wielkich, polskich, kulturalnych i pełnych tradycji ośrodków, jak Wilno, a nade wszystko Lwów, musi ujemnie wpłynąć na przyszłe stosunki pomiędzy Rosją a Polską, które oparte być winne na przyjaźni i zaufaniu, bez których nie są możliwe dobre sąsiedzkie stosunki. Argument mający na oku całą przyszłość stosunków polsko-rosyjskich jest tymbarczycki przekonywający, iż premier Mikołajczyk i jego rząd gorąco pragną ugruntowania przyszłych stosunków z Rosją, na trwałą, przyzwoitą podstawę. Dali oni wiele dowodów swej dobrej woli i narzuli się na gwałtowne ataki ze strony pewnych polityków polskich, którzy oskarżali ich o zbyt daleko idące i niepotrzebne koncesje. Rosja usławicznie usprawiedliwiała swe żądania terytorialne potrzebą bezpieczeństwa i posiadania przyjaznych rządów w państwach z nią graniczących. Bezpieczeństwo i przyjaźń nie mogą opierać się na krzywdach wyrządzonych drugiej stronie. Wydaje się, że nauki Lenina zostały kompletnie w Rosji zapomniane i że goryż wzięty pogląd, że obecny Związek Sowiecki jest poprostu spadkobiercą wszystkich terytoriów, jakie niegdyś wchodziły w skład imperium carskiego. Lecz nawet ta teoria nie powstrzymuje Rosji od żądania Galicji Wschodniej, która nigdy do carskiej Rosji nie należała. W tym wypadku Rosjanie wysuwają inny argument, a mianowicie ten, że Ukrainę, który stracili w tej wojnie półtora miliona ludzi, muszą być wynagrodzeni aneksją Lwowa. Argumentując w ten sposób, Rosja wydaje się zapominać, że Polacy stracili w tej wojnie więcej niż dwa razy tyle i że jedyną nagrodą za ich ofiary ma być przywrócenie im państwa i ich polityki ich terytorium narodowego.

„Czy rząd polski będzie miał możliwość trwania w skutecznym oporze wobec nacisku rządu Jego Królewskiej Mości W. Brytani, z którą Polska złączyła swe losy w r. 1939., która zaufała i u której boku walczyła i wciąż jeszcze walczy na wszystkich frontach wojny?

„Wzamin za utratę połowy jej terytorium na wschodzie, ofiarowując się Polsce kompensację w postaci linii granicznej wzdłuż Odry na zachodzie. Nie jest wcale pewne czy sugestia te, mające przeciwko

DOKUMENTY

sobie Opozycję szeroki i ważnych odłamów brytyjskiej opinii publicznej wytrzymają krótko czasu i czy w końcu tej wojny Polska nie stanie wobec sytuacji, że odmówiwszy nowych granic wtedy, kiedy działanie było jeszcze możliwe, zostanie ona mimo to okrojona do połowy na wschodzie i pozostawiona jako państwo kadłubowe, nie zdolne do niepodległego istnienia. Faktem jest, że Polacy sami nigdy nie wysuwali żądań granicy wzdłuż Odry i że świadomi są oni wszystkich trudności i niebezpieczeństw, jakie pociągnęłyby za sobą tak radykalne zmiany mapy Europy środkowej i wschodniej. Zdają sobie oni również sprawę z komplikacji, jakie pociąga za sobą fakt, że terytoria owe zamieszkałe są obecnie przez około 7 milionów Niemców. Mimo wszystko muszą oni brać pod uwagę konieczność znalezienia miejsca dla co najmniej pięciu milionów Polaków, których trzeba by przesiedlić ze wschodniej Polski w razie jej stracenia i dla których nie można absolutnie znaleźć miejsca w przedlinnych prowincjach Polski centralnej pomiędzy „linią Curzona” a przedwojenną granicą polsko-niemiecką na zachodzie.

„Dalej polskie życie gospodarcze przedwojenne oparte było na systemie Wisły i Niemna. Polska pozbawiona Niemna musi zrobić się ku systemowi Odry, jeżeli ma być w ogóle zdolna do ekonomicznego rozwoju. W końcu Polska musi uzyskać odpowiedni dostęp do morza; ten cel wydaje się być możliwy do osiągnięcia przy pomocy przyłączenia Prus Wschodnich, lecz okazuje się, że Królewica ma być zastrzeżona dla Rosji, co zmusza Polaków do szukania innego wylotu na Bałtyk i innego portu, który mógłby zastąpić Królewicę. Jedynie Szczecin mógłby taki wylot zapewnić. Jasnym jest, że Polska, sojusznik od samego początku wojny i to najwierniejszy swoim aliantom, a który ucierpił więcej niż ktokolwiek inny, musi mieć przynajmniej pewną szansę przeżycia i rozwoju. Istnieją ważne argumenty przeciwko przyłączeniu linii Odry, jako przyszłej granicy. Jednym z nich jest fakt, że obecnie kilku milionów Niemców w obrębie granicy powojennej Polski rozbiega państwo polskie, którego obywatelami będą oni wbrew swej własnej woli. Słuszności tego argumentu trudno zaprzeczyć i trudność ta może być jedynie usunięta przez przesiedlenie z przyłączonych terytoriów ludność niemiecką, ponadto przesiedlanie takie byłoby również konieczne dla zrobienia miejsca Polakom ze wschodu Polski. Inny argument, który często się słyszy jest, że taka escja terytorium niemieckiego byłaby przeciwna moralności międzynarodowej, zasadom etnograficznymi i Kartie Atlantyckiej. Jeśli ten argument miałby być słuszny w odniesieniu do Niemiec — wrogiemu państwu odpowiedzialnego za wybuch wojny — należałoby się spytać, dlaczego nie ma być on zastosowany w odniesieniu do Polski, a mian. do Lwowa i Wilna.

„Wysuwa się również często konieczność liczenia się z uczuciami Niemiec powojennych, które nigdy nie pogodzi się z utratą Śląska Opol. i Zach. Pomorza. Wysuwa się argument, że w ten sposób rozłonkowane Niemcy będą dążyć do odwetu i że nowa granica Polski będzie przyczyną napięcia, konfliktów i w końcu nowej wojny. Ze wszystkich argumentów wysuwanych przeciw linii Odry, ten ostatni jest najmniej przekonujący. Jeśli istotnie pozostawi się Niemcom możliwość ponownego zbrojenia i dostatecznie się do wykonania nowej agresji, obojętne, czy przyczyną będzie Gdańsk, czy polskie Pomorze — jak w r. 1939. Przejawiszy wojnę Niemcy będą żądać odwetu bez względu na to, czy zatrzymają Szczecin czy nie. Z drugiej strony silniejsza Polska, panująca nad Odrą, łatwiej może służyć jako hamulec. Lecz, najważniejszy argumentem przeciw takiemu rozwiązaniu granic Polski jest ten, który ustawicznie wysuwają Polacy, że państwo nie może być przesuwane, dowolnie na wschód i na zachód; że Wilno nie może być przeniesione do Szczecina, albo do Wrocławia; że państwo nie jest domem na kółkach, lecz podstawą życia licznym pokoleń, które żyją na ziemi, przysięgnięci jej krwią i uprawianej pracą ich przodków; życie to znajduje swój wyraz w pieśniach ludowych i twórczych dziełach artystów. Niestety argument ten spotyka się z małym zrozumieniem ze strony polityków. Nie ma wątpliwości, że gdyby rząd polski musiał ustąpić naciskom i zgodzić się na nową granicę, musiałby uzyskać zapewne prawdziwej niepodległości Polski w jej nowych granicach. Bez tego zgodą byłaby popełnieniem samobójstwa.

„Zgodziłby się on na żądanie rosyjskie, dając tym samym Rosji podstawy prawne, a równocześnie nie miałby gwarancji jakości, że państwo polskie byłoby naprawdę niezależne. Dotychczas Polska nie ma żadnych gwarancji, któreby określają jej „niezależność” ma być zabezpieczona i co się dokładnie rozumie przez „niezależność”. Narazie wielkie mocarstwa zadawałają się wywieraniem nacisku na Polskę swego najstarszego sojusznika, aby poczyniła ustępstwa, które zagrożają całej jej przyszłości. Ma ona poczynić to koncesję przed konferencją pokojową, bez prawa protestu, wysuwania zastrzeżeń lub żądań wyrównań na tej konferencji. Te olbrzymie ofiary mają być uczynione w zamian za niejasne obietnice i Polska musi się liczyć z możliwością nowych faktów dokonanych na wzór utworzenia komitetu lubelskiego. Wielkie mocarstwa same nie chcą przyjąć pełnej odpowiedzialności za te decyzje — i usiłują przedstawić rewizję polskiej granicy wschodniej i przesuwanie jej granicy zachodniej do Odry — jako rezultat układów dobrowolnie zawartych przez rząd polski. Równocześnie popierają one tajne decyzje dotyczące Polski, bez uprzedniego otrzymania zgody rządu polskiego, jak to nastąpiło w Teheranie. Należy pamiętać o tym, że poza problemem granicznym ma być zabezpieczona istota niezależności Polski. Wydaje się, że ta strona zagadnienia nie jest dostatecznie rozumiana w krajach języka angielskiego, w których istnieje, zdaje się bezpodstawną wiarą w to, że rozwiązanie problemu granicznego prowadzi automatycznie do rozwiązania wszystkich zagadnień polsko-sowietkich. Wiara ta znalazła wyraz w nieoczekiwanym poparcu, które „Komitet Wyzwoleńca” uzyskał w prasie wydawanej po angielsku, określającej go jako inny, niezależny odłam Polaków o celach i dążeniach odmiennych, niż te, które ma odłam reprezentowany w rządzie polskim w Londynie. Przyczyną tego błędnego podjęcia jest częściowo usiłowanie złożenia odpowiedzialności za pozostawienie Polski jej własnemu losowi na samych Polaków z powodu ich rzekomych sporów. Ten pogląd jest całkowicie fałszywy i powinien być zdemaskowany w sposób kategoryczny.

„Istnienie Komitetu lubelskiego nie jest żadnym dowodem rozbieżności wśród samych Polaków. Komitet ten utworzony został przez Rosję, co było poprostu próbą usunięcia rzeczywistego konfliktu między Polską a Rosją przy pomocy zamaskowanych agentów i funkcjonariuszy sowieckich, pod pretekstem rozłamu wśród samych Polaków. Dobrze wiadomo, że polskie partie polityczne, z wyjątkiem P.P.R., czyli komunistów, którzy zawsze stanowili i nadal stanowią bardzo liczną mniejszość, nie są reprezentowane w Komitecie lubelskim. W Lublinie się czynione pewne próby zreformowania polskich partii politycznych, lecz wszystkie te usiłowania zakończyły się zupełnym niepowodzeniem. Tak więc na wiecach zorganizowanych rzekomo przez socjalistów lub Stronnictwo Ludowe zabierają głos zawsze ci sami członkowie komitetu. Jego marnotrawny prezes Osóbka-Morawski bierze udział we wszystkich zebraniach w Lublinie, niezależnie od tego pod jakiej partii firmą odbywają się one. Nawet oficjalnie sprawozdania rosyjskie z Lublina mówią o stronnictwie zawsze anonimowo, wymieniając tylko nieliczne i zawsze te same nazwiska. W Polsce odczuwana jest silnie potrzeba rządu, przedstawiającego pewien rodzaj autorytetu moralnego. Komitet ten nie posiada takiego autorytetu. Jest on nawet nie zdolny do rozwiązania najprostszych problemów. Jego rozkazy, wydawane społeczeństwu są chaotyczne i powszechnie bójkowane. Handel zredukowany został do minimum i panuje straszliwy brak wszystkich towarów. Rolnicy brutalnie zmuszani są do oddawania wielkiej ilości zbiorów. Życie gospodarcze jest w zaścioju i Polska rozlicza stol w obliczu głodu.

„Komitet bez wątpliwości nie ma funkcjonariuszy administracyjnych, którzy mogliby sprostać problemom odbudowy. Reforma rolna nie może być skuteczna, gdyż chłop polski, których cechuje poszanowanie prawa, nie mają zaufania do władz ofiarujących im ziemię. Dymisja Witosa wykazała, że istnieje głębokie animozje i rozłamy w Komitecie, gdyż ten działający z ramienia Rosji Komitet obawia się każdego, kto zdolny jest do bardziej niezależnego życia. Przetłumaczono egzystencji fikcyjnego „Komitetu Wyzwoleńca” w Polsce jest poprostu dowodem chęci nie zezwolenia Polsce na to, by była kierowana przez rząd cieszący się zaufaniem społeczeństwa i będący wyrazem woli Narodu Polskiego. Powyższe względu

skłaniając rząd polski do zachowania rezerwy i odłożenia jego decyzji; decyzja taka musiałaby pociągnąć za sobą olbrzymie ofiary bez rzeczywistych przyczyn i ofiary te mogą być poniesione tylko dla celu jasnego i dokładnie określonego. Narazie przyszłość kryje w sobie zwirowe i bezładne perspektywy...”

„Obserwuj wszystko wie...”

Prasa londyńska szeroko komentuje dymisję p. Mikołajczyka. Podajemy głos „Observera” z dn. 26.XI.1941. gw. PAT'a „Ustąpienie Mikołajczyka, stanowiące zapowiedź dalszego ostrego pogorszenia się stosunków polsko-rosyjskich, zaszkodziło nawet jego kolegom gabinetowych. Uprzednio nie dyskutowano takiego kroku na żadnym z posiedzeń rządu. Mikołajczyk powziął decyzję ustąpienia po wymianie poglądów, którą przeprowadził w czwartek z szefami czterech partii tworzących koalicję rządową. Mikołajczyk przedstawił im zarys ostatecznej odpowiedzi na propozycję porozumienia polsko-rosyjskiego, które zostały wypracowane w czasie konferencji moskiewskiej w ostatnim miesiącu. Panuje przekonanie, że ostatni projekt Mikołajczyka pozostawał w związku z sugestiami przywiezionymi do Londynu przez Harrimana — ambasadora Stanów Zjednoczonych w Moskwie. W czasie konferencji z przewodniczącą partją Mikołajczyk doszedł do wniosku, że poglądy jego tak dalece różnią się od poglądów reprezentowanych przez przewodców partii, że to usprawiedliwia jego natychmiastowe ustąpienie z urzędu.

„Główna rozbieżność zdań zarysowała się pomiędzy premierem i socjalistycznym wice-premierem Kwapińskim, który od pewnego czasu przedstawił Mikołajczykowski, że idzie on za daleko w ustępstwach czynionych dla zaspokojenia żądań rosyjskich. Kwapiński był przeciwnym pojednawczym propozycjom wysłanym w sierpniu przez Mikołajczyka do Stalina, a szczególnie był przeciwny idei, by Polacy mieli się zgodzić na czasową linię demarkacyjną, która by miała przebiegać gdzieś pomiędzy przedwojenną granicą Polski, a granicą sugerowaną w obecnej przez Rosję. Według poglądów Kwapińskiego, Polacy nie powinni czynić żadnych ustępstw z ich przedwojennych granic. Pogląd Kwapińskiego nie przeważał jednak wewnątrz jego własnej partii i rozbieżności nieco się zmniejszyły. Ostatnio jednak opozycja przeciwko Mikołajczykowski wewnątrz rządu przybrała na siłę. Wyraziło się to między innymi w demontażnym wniosku nieufności dla prof. Grabskiego jako przewodniczącego Rady Narodowej zgłoszonym przez członków tej rady. Grabski służył przewodcą narodowców towarzyszy Mikołajczykowski w obu jego podróżach do Moskwy i jest uważany za najwierniejszego obrońcę rosyjsko-polskiego pojednania. Stałe utarczki ze swoją własną opozycją, jak również wrogość Rosji i pewne niezcierpliwienie ze strony innych przewodców alianckich — zdaje się — znużyły ostatecznie Mikołajczyka.

„Prezydent Rzeczypospolitej przyjął rezygnację Mikołajczyka i powierzył Kwapińskiemu zadanie utworzenia nowego rządu. Kwapiński przeprowadził rozmowy z przewodcami innych partii. Jest jednak rzeczą wysoce nieprawdopodobną, by Stronnictwo Ludowe Mikołajczyka zgodziło się wejść do nowego rządu.

„Postawa Kwapińskiego w stosunku do Rosji jest nacechowana przez emocjonalne podejrzanie i awersję, jeżeli nie poprostu przez wrogość, co nikomu uniemożliwi mu kontynuowanie rokowań po linii zapoczątkowanej przez jego poprzednika. Czterdzięci lat walki przeciwko Rosji, początkowo carskiej a później bolszewickiej, tworzyły treść jego politycznej działalności. Na początku obecnego stulecia walczył razem z Piłsudskim w szeregach organizacji bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej, organizacji znanej z napadu na dyktatorzy rosyjskiej policji i rosyjskie instytuty rządowe. Był on odpowiedzialny za niektóre z najbardziej sławnych napadów na pociągów wiozących pieniądze i rosyjskie złoto państwowe. Wreszcie został on ujęty przez policję carską i skazany na śmierć. Wyrok został zamieniony na długie terminowe więzienie na Sybirze. Rewolucja 1917 roku uolnili Kwapińskiego, powrócił do Polski, gdzie kierował Związkiem Robotników Rolnych. W roku 1939 r. został ponownie deportowany przez Rosjan na Sybir, lecz został zwolniony po zawarciu umowy polsko-rosyjskiej w roku 1941. Jego tragicznie romantyczna i heroiczna przeszłość: nie jest tego rodzaju, by pomagała w wytorowaniu zrównoważonego poglądu na obecny stan spraw polsko-rosyjskich.

„Byłoby jednak błędem nie widzieć, jak dalece emocjonalna postawa Kwapińskiego w stosunku do Rosji jest wyrazem głęboko zakorzenionego w Polsce nastroju, który wyraża w wielu bardzo realnych polskich krzywd i który to nastroj nie ogranicza się do kół reakcyjnych”.

NACZELNY WÓDZ W

(Odczyt z dnia 21

Tematem, który wybrałem na ten odczyt, jest „Naczelnny Wódz w teorii i praktyce”. W pierwszych słowach chcę odróżnić nie co innego, jak rzecz, którą stała mi na przeszkodzie, to jest samego siebie, albowiem jestem tylko jednym z bardzo wielu naczelnnych wodzów, którzy istnieli na świecie. Teorii o naczelnym wodzu wygłaszać na podstawie swojej jedynie praktyki i swojego jedynie działania nie uważam za możliwe. Więc tedy, gdy będę mówił o sobie, będę jasno to podkreślał.

Mówię o naczelnnych wodzach w ogóle i o ich praktyce. Drugie, co chcę uczynić ze względu na przyjęcie obyczajów i zwyczajów w Polsce, to, że z chwilą, gdy mówię o naczelnym wodzu, nie oznacza to wcale, bym pragnął wojny i bym was do wojny zachęcał.

Zjawisko, znane pod nazwą naczelnego wodza, jest zawsze ściśle związane z innym zjawiskiem, zjawiskiem wojny. Bez wojny naczelnny wódz nie istnieje, a wojna bez naczelnego wodza się nie obchodzi. Są to zjawiska historyczne, sprawdzone zarówno u najdzikszych plemion, jak również w Polsce. Nie wolno odłączać wojny od naczelnego wodza i naczelnego wodza od wojny. Są to rzeczy tak nierozdzielalne, że powtarzam — nie ma historii wojny bez naczelnego wodza i nie ma historii naczelnego wodza bez — wojny.

Zgodnie z samym pojęciem o naczelnym wodzu, wódz jest związany z wodzami — z dowódcami. Mówi naczelnego wodza jest dowodzić, a dowodzić to znaczy rozkazywać. Naczelnny wódz bez dowodzenia i rozkazywania nie jest naczelnym wodzem. Słowo zaś „naczelnny” mówi tylko o szerokości dowodzenia, mówi, że indywidualnie dowodzi wszystkim, co jest wojskiem, wszystkim, co z bronią w ręku walczy na polach bitew.

I gdy spostrzegamy gdziekolwiek rozumowanie, polegające na tym, że tylko małą jednostką dowodzi się indywidualnie, a im wyżej sięga dowodzenie, tym mniej staje się ono indywidualne, to jest to błąd, nieścisły, często w Polsce spotykany.

Dowodzenie w wojnie jest czymś innym, niż jakiegokolwiek dowodzenie, wymagające posłuchu. Istnieje bowiem jeszcze jedno zjawisko — zjawisko nieodłączne od wojny i nieodłączne od rozkazodawstwa na wojnie. Jest nim rozkaz, noszący w sobie zarodek śmierci. Gdy człowiek chce sentymentalnie usunąć od rozkazodawstwa wojkowego zjawisko śmierci, popełnia grzech, grzech przeciw groźbie wojny i grzech przeciw naczelnemu wodzowi, który śmiało i odważnie wieniał brzoń na siebie rozkazodawstwo, związane ze śmiercią.

Zjawisko śmierci jest powszechne dla ludzi, gdyż ludzie są śmiertelni, lecz żaden rozkaz nie sięga tak głęboko w istotę duszy ludzkiej, jak rozkaz związany z wojną, gdyż żąda od śmierci. Dlatego też porównywać jakiegokolwiek posłuchu czy posłuszeństwa z posłuchem wymaganym od żołnierza — nie podobna. Zjawisko śmierci, któryś unosi się nad postacią żołnierza, który stał się jego towarzyszem. Żołnierz na sztandar przysięga, żyć i umierać musi, jak prawy żołnierz, umierać na rozkaz dowódcy. Dlatego jeszcze raz powtarzam rozkazodawstwo wojenne nie ma w sobie również w żadnym innym rozkazodawstwie. Zgodnie z moim określeniem, które dałem omówić na jednym z odczytów w Wilnie, stwierdzam, że ten tylko dobrym jest wodzem, który po życie ludzkie sięgając, sięga do głębi duszy. Żądając, by żołnierz dał duszę, sam żołnierzowi daje duszę.

Porównując różne rodzaje śmierci, które istnieją na świecie, stwierdzę należy, że śmierć żołnierska jest inna. Gdy jakiś bankier traci majątek i, bankrutując, po rewolwer sięga i przykładą go do skroni, gdy jakaś niebezpieczna dziewczyna z miłości rzuci się z mostu do Wisły lub po trucznej sięga — ulega własnej woli, ucieka od życia i od jego ciężaru.

Żołnierz umiera dla innych, nigdy dla siebie, zdrowie ciała rzuca molochowi wojny pod stopy. Tyśiące śmierci, które w ten sposób jedna za drugą idą, śmierci na polu bitwy, śmierci w szpitalach z powodu ran i chorób, to związane są one nie z czym innym, jak z rozkazodawstwem naczelnego wodza. Dlatego też jeszcze raz powtarzam, że posłuch, który naczelnny wódz wymusza, inny ma charakter, niż charakter posłuchu w jakiegokolwiek — bądź innej dziedzinie życia.

Przechodzę do innej charakterystyki naczelnego wodza. Naczelnny wódz musi do rachunków swoich wciągać siłę całego

państwa, które reprezentuje na polach bitwy, musi siłą i jego słabość obliczać.

Najczęściej rachunkiem wodzów to mierzenie stanu moralnego całego kraju. Ie niebezpiecznych wodzów przegrado wojny, gdy wbrew swemu sumieniu i zimnym rachubom musieli starać się o osiągnięcie zwycięstwa, by wydobyc efekty i nimi umysły i serca zaspokoić. Ktoż naczelnny wódz musi wciągać ustawicznie w swój rachunek i inne państwo — to z którym wojuje. Musi wyszukiwać dla odniesienia zwycięstwa słabości innych państw, by w ich słabe miejsca uderzyć. Musi wynajdywać odpowiednie momenty, gdy państwo, z którym wojnę prowadzi, słabnie, by w ten sposób wymuszać zwycięstwo.

Moja panowie, na to zjawisko dowodzenia za pomocą rozkazów, aż do śmierci, aż po duszę i życie sięgających, które musi obliczać siłę państwa całego i państwa prze-

czy nie chcą, i na których spadają wszystkie wyjątkowe prawa, rządzące wówczas ludźmi. Zgodnie z tym, każdy naczelnny wódz podczas wojny staje się jakgdyby ogniskiem wszystkich uczuć, wszystkich ciekawości, bez względu na to, czy wrogów, czy przyjaciół. Jest on stałe przedmiotem rozmów i przedmiotem powszechnego zainteresowania. Każdy, jak gdyby czuje, że od niego najbardziej zależy zwycięstwo, od niego zależy przebieg wyjątkowych praw. Naczelnny wódz jest człowiekiem, który nerwy swoje na zewnątrz otwarte nosisi, każde pytanie i każde oko, każda ciekawość, każde pytanie i każde zjawisko wojny o jego nerwy zaczepia i na tych nerwach czy wrog czy przyjaciel kaździ nęć wygrywa, jak na swojej własnej lutni. Jest on wtedy publiczną własnością. Dlatego też nie ma człowieka bardziej narażonego na zepsucie nerwów, niż naczelnny wódz. Jeżeli ludzom ciężko zdobywać się na decyzję i na

wsze tak tę prawdę wyświela, tę prawdę podaje.

Dotknie teraz odwrotnej strony teorii. Teoria każda ma swe egzageracje, ma swoje przesady, przesady w jedną czy drugą stronę „in plus” albo „in minus”. Ażeby panom uprzyśnić, jak te przesady się formują i jak one oddziałują, przytoczę przykłady egzageracji z innej dziedziny.

Niedawno rozmawiałem z jednym osobnikiem, który teoretyzował o onocie prawdomówności. Gdy mu zarzuciłem, że teoria bezwzględnej prawdy nie da się utrzymać, spotkałem się z żywą opozycją. Twierdziłem, że będąc w zasadzie prawdomównym, nie mogą nie wiedzieć, że — mówię wielkimi słowami Goethego: „die Theorie ist immer grau” — teoria jest zawsze szara i że życie kłamstwa wymaga. Wszak naszym niebezpiecznym dzieciakom kłamcy ustawicznie o obawy, że wielkiego ciężaru prawdy życia słabe ich główki i słabe ich ciała by nie zniżyły. Przeciwił lekarze, chętnie ratować chorego i pociżymać jego siłę moralną, kłamcą mu systematycznie o stanie jego zdrowia. Już nie mówię o dyplomatach, którzy dla reprezentacji państwa, jak mówi przysłowicie, mają język po to, żeby igać; już nie mówię o mędzłach staru, którzy od zgromadzenia do zgromadzenia zmieniają swoje zdanie i kłamcą sobie ustawicznie.

Egzageracja o prawdzie przypomina mi inną egzagerację enoty, z którą zetknąłem się kiedyś w Anglii w grupie taborowców rosyjskich. Teoretyzowali oni o niemożliwości sprzeciwiania się znu. Nigdy nie zapomniałem gromadnego śmiechu, gdy przy mnie jeden z ich nieprzyjaciół zapytał o otwarcie panów, egzagerujących enotę, czy ona i przy powszechnie znanej pracy łapania na sobie czarnych stworzonek w cudowne paluszki pozostaje wierną swej zasadzie niesprzeciwiania się znu.

Byłem obecny na dwóch bardzo długich posiedzeniach, gdy ową przedstawiłem. Te teorii niesprzeciwiania się znu roztrząsali bardzo poważnie wypadek, przez siebie wymyślony.

Oto na okęcie jakiś wariat ma piekielną maszynę, którą ma zamiar zatopić statek na pełnym morzu. Na statku znajdują się same kobiety i dzieci, co komplikuje jeszcze bardziej wypadek. Przez dwa wieczory roztrząsano, czy można w tym wypadku sprzeciwie się znu, zebrać pasażerów, żeby tę piekielną maszynę ze statku usunąć, choćby kosztem, naturalnie, tego wariata. Przy mnie ta kwestia nie została jeszcze rozstrzygnięta i przez tych egzagerantów przedstawiłem dalszą dyskusję na terenie posiedzenia. Teoria jest szara, lecz w egzageracji teorii mamo odłask życia.

Niech mi wolno będzie wręczyć przypomnieć jeszcze jedną egzagerację związaną ze zjawiskami wojennymi, która wytlumaczy, jak łatwo ludzko do przesady dochodzi i jak wtedy trudno myśleć. Gdy wybuchła wojna 1904 roku pomiędzy Rosją i Japonią, pracowałem w owe czas wrosz fachowych egzagerantów teorii, wśród su-



Józef Piłsudski

ciwnego, które wojuje, nikt nie poradzić nie jest w stanie. Prawo bowiem wojny jest wyjątkowe i wyjątkowe prawa wysiłków. Wysilków i mocy trwania, wymaga również wyjątkowych praw i pełnomocnictw.

W Polsce, która wojnę tak dekladnie znać musi, gdyż dłużej od innych państw na terenie swym własnym ją widziela i to tak niedawno, — powinno, zdawałoby się, istnieć rozumienie, jak wyjątkowych wysiłków ona wymaga i jak wyjątkowymi prawami Polska wtedy rządzono.

Zastanawiam się teraz muszę i nad psychiką, związaną z naczelnym wodzem. Wszyscy, którzy o tym próbują myśleć, podnoszą konieczność istnienia u niego poczucia odpowiedzialności, tej meki, którą człowiek jeden znośić musi, gdy ma na swoich barkach pracę wojenną, pracę wymuszania na nieprzyjacielu zwycięstwa. Albowiem wojna jest zjawiskiem, przy którym w ostatecznym rachunku, nie gdzie indziej wzięć się losy narodu i państwa, jak tam, gdzie naczelnny wódz działa. Gdy w historii będziemy liczyli państwa, które upadły, państwa, które zniknęły, to znajdziemy zawsze jako ostateczny wywód ich upadku, przegrane wojny. Gdy będziemy obserwowali większe przewroty, których państwa zaznają, znajdziemy zawsze, jako przyczynę ich — zjawiska wojny. Od przegranej lub wygranicy wrzescie na polach bitwy zależy nie tylko tak wielkie rzeczy, jak państwo, lecz gabiny, ministrowie i rządy.

Więc pierwszy zjawiskiem, z którym liczą się ludzie przy ocenie prac naczelnego wodza, jest to poniesienie przez niego wzmoczonej odpowiedzialności. Jest to jeden z wielkich filozofów wojny, von Goltz, stwierdza, że — zdaniem jego — najcięższą pracą duszy, najcięższym obowiązkiem, jaki na człowieka spaść może, jest naczelnne dowodzenie.

Wszelkie jego prace są związane z wyjątkowym stanem podczas wojny, dotykającym wszystkich absolutnie, czy chcą,

postanowienia, związane nawet z ich prywatnym losem, to jakąż dopiero meką są decyzje o losie tysięcy ludzi, decyzje, które podejmować musi naczelnny wódz w każdej chwili. Dlatego też ten sam von der Goltz, zastanawiając się nad kwestią, jakim musi być naczelnny wódz, w sposób dosyć oryginalny stwierdza na podstawie porównania szeregu większych wodzów, że istnieje jedna tylko cecha, która robi dobrego naczelnego wodza.

Ież różnych zupełnie typów znajdujemy w galerii wodzów świata — byli blondyni i bruneci, byli ludzie słusznego wzrostu i niskiego, byli mizerni i otylej tuszy, byli tacy, co śmiech łatwo na ustach mieli, i tacy, co kiedy byli ponurzy, byli tacy co chętnie się zapamiętali przy kielichu, i tacy, co alkoholu do ust nie brali, byli tacy, co mieli szczęście do kobiet i tacy, którzy tego szczęścia nie mieli, byli tacy, co w karty lubili grać i nawet oszukiwali, byli tacy co kart do rąk nie brali. Nie ma granic różnorodności charakterów i rozmaitości uczuć ludzkich, gdy się przebiega postacie większych wodzów, którzy w historii są jako tacy znani. Jest, powiada von der Goltz, jedna prawda, która wszystkie postacie wojny łączy i cechuje: dobry wódz musi umieć imponować ludziom, musi ludzi porządkować; gdy tego nie umie — nie potrafi być dobrym wodzem. Bez tej wewnętrznej cechy, która daje moc rozkazodawstwa, nie sięgnie on nigdy tak daleko do wnętrza duszy ludzkiej, by żądać śmiało posłuszeństwa aż do śmierci.

Przebiegam główne cechy dowodzenia, to znaczy mus całego rozkazodawstwa i konieczność ustawicznego rachowania sił swego państwa i sił państwa, z którym się walczy. Gdy dodamy obzrym ciężar odpowiedzialności, który spada naczelnego wodza, żyjącego w krótkim śpięciu, gdy dodamy to, że nie tylko musi umieć wznosić pożary, lecz sam w pożarach być jak salamandra, — to przebiegniemy główne rysy najsmutniejszej prawdy, związanej z naczelnym dowodzeniem. Teoria wojny za-

Z „Dumy o

— Ktoż jest człowiek?

Jakie jest jego miejsce wśród susezy i wody, wśród zwierząt, motyliów i kwiatów?

Jakż powinien być czyn jego?

Czyż człowiek powinien w ciszy ducha bytować i w niezawodnym szczęściu pokory na obraz baranka w dolinie — na obraz lilii enoliwiej, co ziemski sok pije — czyli powinien jak ona otwierać kielich postuszy swej duszy ku słońcu, a zamkniętą oczy i upuszczać go w nicosć, gdy nadzieje przeczczona pora.

Czyli ma człowiek otworzyć tajną sercu ciemność, gdy wieczny niezgaśnięty pragnienia jęć czuwa — czyli ma wywołać zaciężną żądę swego istoty, żeby wychylna po władzę nad światem?

Czyli ma człowiek w cichociśno pożywać owoc ziemi rodzajej i wiebląć ją sercem niewinnym?

Czyli ma uściskiem dłoni żelaznych ugniatać ze wszystkiego kształt nowy na obraz tajemniczej chimery myśli swej — a wolę niezycężoną, swoją własną, tworzącą w krwawym ciępieniu i wśród krzyków boju weń technąć?

Hełman:

— Uderzałem nogą w glinę ziemi ruskiej i d'wigalem polskim ramiem między kurnymi chatami, kiedy tego nie czyni!

TEORII I PRAKTYCE

1 marca 1926 r.)

cialistów. Pierwsza odczewa (Autorem odczewy był Feliks Perl ówczesny redaktor nielegalnego „Robotnika”. Odbito ją w Rydze, w drukarni „Robotnika” w marcu 1904 r.), która ukazała się o tej wojnie, brzmiała — biją dwie burzażaje, co nas, proletariata, to obchodzi? Gdy wskazywałem, że właśnie polski proletariata, musi umierać na polu bitwy, gdyż byłoby niechybnie zmobilizowany, to jednak egzagerancie teorii od swego zdania nie odstępowali. Pamiętam, że rozwiścieczony odpowiedziałem moim egzagerantom teorii inną egzageracją, związaną z towarzyszem Katakajmą (Katajama — delegat japońskiej partii socjalistycznej na europejski kongres socjalistyczny, który był znany wówczas na świecie, jako reprezentant socjalizmu japońskiego. Ow towarzysze prawdziwie podobnie rozwiścieczony, tym, że w jego odczewie napadają, stwierdzają wszędzie głośno na zebraniach publicznych, że Japonia wojnę należy wywalczyć. Prowadzi ona wojnę tak tania, że nikt z kapitalistów dużo na tym nie zarobi. Lubieżem tego towarzysza Katakajmę, gdyż istotnie każdy socjalista może być dumny, gdy podczas wojny pilnował, żeby wojna, która jest tak droga, tak kosztowna, nie szła na korzyść kapitalistów i żeby z krwi ludzkiej wydobywane złoto nie napełniało ich kieszeni.

Byłbym dumny z socjalistów polskich, gdyby w razie nieszczęścia wojny na naszej ziemi mogli tak spokojnie i otwarcie, jak Katakajma, chwalić się swoim narodem.

Gdy w każdej teorii są nieodłączne egzageracje prawdy, to i w teorii naczelnego wodza są egzageracje, niestety, bardzo często.

Zaczęło naturalnie, od egzageracji polskiej. Jedną z najczęściej powtarzanych jest tu rozważanie zadań dwóch istot, które podczas wojny mogą ze sobą się pokłócić. Tymi dwoma osobami jest prezes ministrów i naczelny wódz. Egzageracja mężów stanu Polski idzie systematycznie i stale ku daniu przesowy ministrów, premierów, prawa dowodzenia na wojnie i to do tak śmiesznych stopnia, iż wydać się może, że najlepiej byłoby, gdyby naczelny wódz nie było, a premier za niego wojnę prowadził. Ze słusznych praw i słusznej teorii, że naczelny wódz stale pracować musi z rządem swego państwa, wywodzi się przesada, że premier, który zresztą najczęściej na wojnie się nie zna i dowodzi niekiedy sam sobą nie potrafi, ma prawo kierowania naczelnym wodzem podczas wojny, kierowania jego pracą wojenną. Jeżeli dalej tak to zwyczajnie Polski pójdą i ta egzageracja mężów stanu stanie się faktem, to wobec nieznajomości przesca gabinetu spraw wojskowych, może zrodzić się konieczność przystawienia mu fachowego doradcy czy to w postaci dalekiego kuzyna podporucznika, czy w postaci wyrażonego generała, by w ten sposób mógł premier podjąć nałożonemu na niego zadaniu.

Wtedy, zgodnie z praktyką polską, kwalifikacja naczelnego wodza w stosunku do jego podwładnych będzie sądzona honorowym sądem przez przesca gabinetu.

Hetmanie

nikt, zamki grube, jakoby rzymski kasztel Anioła, strzelisz, jakoby skały, żeby pierś ludu tego bez pancera w zamruzie kryć się mogła od pocisku, gdy runie z Azji wróg. Brałem dławem belli*) i nie drżała pod ciężarem wojennego żelaza ręką moja. Siedziałem przez życie Rzeczypospolitej granicami, trając walecznych ludzi cudzych śmiertelne mogiły, bom Europę pchał w krajny dzikie. Nocą moją bezgwiezdną ewalowałem przez pola dalekie, gdzie trupy rozniecone przez mnie dziobie płak.

Warnechcykowym szlakiem wplaw przez, bywałem rzeki krwawe, którymi nie woda zafarbowana, lecz nieśmiertelna chwala wojenna mego plemienia się toczy. Była to moja własność jedyna, szczęście polskie zasłaniając, bujące wojenną pokazywać jak czel obcy plemionom. Jam widział! Byłem z sejm polskiego, ze stolicy prawdziwośc i wolności, od ludzi nie przymuszonych posłany do ludów, które łopór żelaznej pychy rabie.

Głos za zastaną namiotu: — Śnieżę, że ziemię swoją, jak własnego ducha wojennym opaszcz rzemieniem i że brzeszczot jej do lewego przytroczyłeś boku sobie.

Stefan Żeromski

Z różnorodnej konieczności współpracy rządu i naczelnego wodza, od którego nie raz ten gabinet zależy i ten premier zależy, bo doświadczył bitwę, a obruszenie zmieści naczelny wodza, ale i rząd, — wyciągnięto takie przesadne wnioski, że prezes gabinetu jest stałym doradcą we wszystkich pracach naczelnego wodza. Powiem z praktyki, że gdybym musiał razem z kimś myśleć wtedy, gdy dowodzę, to wolałbym nie dowodzić, niż takie głuństwo czynić.

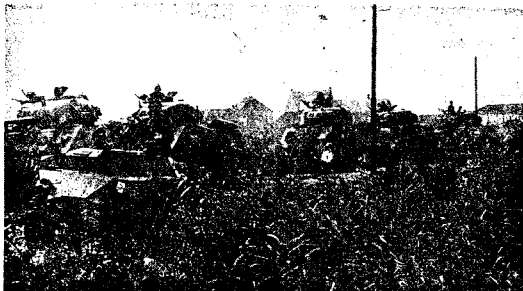
Jest druga egzageracja. Znana jest teoria, zupełnie słuszną, że w pracach wojennych wojsko nie jest wszystkim, że wojsko czerpie swe siły z całego państwa.

Widomo, że wojsko zależy od wielu praco czyno gospodarczych, które naród stale prowadzi musi. Ciężary, które się na niego nakładają podczas wojny, są o wiele większe, a stąd boleśniejsze są jego cierpienia. Gdybyśmy na jednej szali kładli cierpienia naczelnego wodza a na drugiej był matkę, które utraciły swych synów, wyjdzie sąd, że cierpienia naczelnego wodza jest mniejsze. Lecz gdy w ten sposób chcą ludzie powiedzieć, że represen-

terza ciągle regulować, pociągają za sobą tyle drobiażgów, że w sumie są one za liczne i za różnorodne, ażeby szybko obejmować je mogła jedna głowa.

Dłatego teorii, które w teorii staram się iść w kierunku żądającym współpracę stale i systematycznie naczelnego wodza z rządem, który prowadzi razem z naczelnym wodzem wojnę. Jest przy tym absolutnym niepodobieństwem na spółkę z kimś o wojnie, prowadzonej przez naczelny wodza, myśleć razem, dawać rozkazy, razem może, jakby chcieli styliści, styl naczelny wodza poprawiać. Niepodobna jest dzielić władzę na placu boju, na którym inne prawa rządzą, zatrzymujące nie raz zupełnie życie. Lecz również niepodobnym jest dzielić pracy, ułatwiającej normalne prowadzenie wojny, pomiędzy możliwe małą ilością ludzi. Gdyż im bardziej praca jest indywidualna, tym jest silniejsza w swoich przejawach, im bardziej ludzie indywidualnie silni podadają sobie rękę do współpracy, tym jest bezpieczniejszy naród, który wojnę prowadzi musi. I tym jest lepiej dla pracy zwycięskiej.

Przechodząc do naczelnego wodza w



Czołgi polskie w Holandii

tanlem tego cierpienia i reprezentantem tych ciężarów, spadających na społeczeństwo, naczelny wódz nigdy nie jest, lecz komisja sejmowa, przeciwstawiająca się naczelnemu wodzowi, to wtedy taki pogląd jest czystą egzageracją.

Egzageracja „in plus” teorii o naczelnym wodzu jest związana z dość popularną u nas ideą, ideą dyktatora. Powiada ona, że jeżeli praca jest tak wyjątkowa, jak praca wojenna, musi być i wyjątkowe prawo, nadane człowiekowi, który tę wojnę na swoje barki bierze. Nie chcę przeczyć, że historia daje przykłady zastosowania w życiu tej teorii. Lubię pod tym względem powoływać się na przykład najświeższej demokracji, jaka na świecie istnieje, na przykład Rzymu, który umiał w chwilach ciężkich wojen wybierać na czas określony dyktatorów, dając im prawa nadzwyczajne, prawa tak wielkie, jakich może świat potem nikomu dać nie potrafił. Dyktatora ograniczona była trwaniem półrocznym, a jako oznakę potęgi władzy, jako oznakę prawa karania gardłem, nie sześciu lecz dwunastu liktorów nosiło pęki róż z to-porem pośrodku, mówiąc o tym, że wyjątkowe prawa bez kary nie istnieją. Gdy stwierdzam ten fakt, który jest tak niezawodnie piękny, że w chwilach niebezpieczeństwa szuka się człowieka i jego wyjątkową oddarza się władzą, to stwierdzam muszę, że poza przykładem rzymskim trudno się powoływać na inne przykłady. Były wprawdzie wciely monarchowie absolutni ale ci różni władzę posiadali tak na wojnie, jak i podczas pokoju, gdyż indywidualizowali w sobie całe państwo. Stwierdzić również trzeba, że posłuch i posłuszeństwo uległy z biegiem czasu ogromnej ewolucji, możność wydobycia posłuszeństwa nie jest dziś tak wielką, jak była ongi.

Z drugiej strony stwierdzić trzeba, że rosnące z dniami każdego komplikowanie się życia, ilość rozstrzygnięć, które dawac trzeba we wszystkich dziedzinach życia, przerasta znacznie siłę jednego człowieka.

Wobec tych zjawisk nie byłbym w stanie wypowiedzieć się za tą egzageracją teorii o naczelnym wodzu, wojna bowiem wymaga poszerzenia dźwi w ruch maszynny o jak rozmaitych prawach działania, że zaspokojenie jej potrzeb nie jest weale tak proste, jak to było za czasów Rzymu. Ilość praw dotyczących miliona ludzi, które

praktyce, wybieram jedną z najczęściej tych praktyk, które znam w historii, to jest praktykę polskiego naczelnego wodza, którym ja byłem. Wybieram ją rozmyślnie, dlatego, żeby Polskę ostrzec, żeby jej powiedzieć, że z naczelnym wodzem Polska ma się inaczej obchodzić, niż dotąd było jej zwyczajem.

Wojna, którą prowadziliśmy w Polsce od roku 1918 r. do końca 1920 r., należała do wojen wyjątkowych, gdyż była prowadzona bez jakiegokolwiek przygotowania, bez jakiegokolwiek myśli przygotowawczej, bez jakiegokolwiek pracy przed wojną z czyjejkolwiek strony, nie wyłączając mnie, gdyż równocześnie z powstaniem państwa wybuchła wojna.

Taka wojna wymagała ustawicznie improwizacji ze zmieniającą się stale wraz ze wzrostem siły organizacji, ze wzrostem stałym, prawie codziennym środków do walki, gdyż rozpoczęła się wojna prawie z zerem. Podobne wojny są według teorii wojnami z góry skazanymi na przegrana. Wojnę prowadziliśmy nie mając żadnych praw do powiedzenia, że znam moich podwładnych. Z rozbitych bowiem państw zabórczych zbiegli się wojskowi, których nigdy w życiu nie widziałem i z których musiałem także stale improwizować sobie pomoc.

Jak mówiłem panom, każdy naczelny wódz nerwy swoje otwarte nosić musi, musi pozwolić bębnić na nich każdemu głupekowi, co rozumem, gdyż jest ogniskiem pracy wojennej. Musiałem i ja znościć ten los w tak ciężkich i tak nieklimatycznych warunkach, jakich historia wojen nie zna. Nie mówię o nieklimatowości źródeł najwyrabniejszych w świecie, gdy za pięćdziesiąt obce ze mną walczono. Nie mówię o sroku oszeszterst, publicznie rzucanych, sięgających mojej rodziny, moim najbardziej osobistych spraw. Nie mówię o łajdactwach w prasie, gdy przeciw moim przyjaciółm walczono tak zaudaje, jak gdyby byli wrogami państwa. Nie mówię o setkach nieklimatycznych pisemek rzucanych śmiało do wojska na froncie.

Nie mówię o pomocy, jaką mi nieżyczliwi, a w największym cięde reprezentacyjnym, w sejmie ustawodawczym, znajdujący poparcie, udzielali. Powiem o trudach pracy w dowodzeniu, gdy miałem w sztabach pełno obcych i oglądających wszy-

stkie papiery. Z powodu braków i nieprzygotowania Polski do wojny byłem zmuszony ustawicznie i ciągle pracować w sposób zupełnie nienaturalny. Musiałem przebiegać od najdrobniejszych rzeczy, które mi ma obowiązkowy naczelny wódz się zajmować do najcięższych i najważniejszych decyzji, od których drżało państwo. Musiałem w większości wypadków bronić swojej głowy, jako tajemnicę, jedynie nie wydawaną na zewnątrz. Gdy sobie te czasy przypominam, zawsze mówię, że raz po raz dusza moja musiała rozpryskiwać się na drobne kawałki i potem do najcięższych decyzji w jedno się zbierała od odniesienia zwycięstwa.

Praktyka polska jest jedną z praktyk najnieklimatyczniejszych, jakie znam, w stosunku do naczelnego wodza. Dlatego też, moi panowie, gen. Żeligowski, obecny minister spraw wojskowych, zwrócił się do mnie z propozycją, żebym zajął w wojsku stanowisko, któreby przypomniało pracę naczelnego wodza podczas wojny. Powiedziałem mu, że nie chcę drugiego raz powtarzać doświadczeń, które miałem w latach 1918 do 1920. Postawiłem jeden warunek, dyktowany racją stanu państwa polskiego, — usunięcie praw i ustaw, ubliżających pojęciu naczelnego wodza. Ustawy tej już nikt nie broni, została wniesiona dwa lata temu, pada przez samą głuportę i nieklimatność. Lecz dla zaznaczenia, że praca ubliżająca naczelnemu wodzowi trwa dalej, ten warunek, który postawiłem, został nieodrzymany i ustawa nie została wycofana. Dlatego też po smutnym doświadczeniu, jakie mam za sobą, jako naczelny wódz Polski, który wybrał przy zwycięskim sztabiarze i który sobie powiedział, że przez upokorzenie nie przejdzie i że drugi raz takiej pracy wojennej dusza zniechęcy nie zdołała, usunąłem swoją osobę.

Mam prawo tym spokojnie ostrzegać Polskę, że żartować z kotwicą bezpieczeństwa, którą naczelny wódz podczas wojny reprezentuje, jest niebezpiecznym igraniem z ogniem. Polska może niezawiesz talentami rozporządzać będzie. Na stanowiskach naczelnych wódzów niech więc Polska ustali swoje ustawy nie dla talentów, lecz miarkując je do sił przeciwnych, które mniej znieść ciężar dowodzenia są zdolne.

Jeżeli wziąłem praktykę Polski w stosunku do naczelnego wodza, to nie dlatego, bym chciał was zmusić do zapoznania o prostych prawdach o naczelnym wodzu, który na barkach swoich nosi, gdy wojna wybuchnie, losy państwa, lecz jedynie dlatego, że egzageracja teoretyczna Polski w stosunku do wojny są dla mnie podziwu godne.

Siedem lat długich wojna po naszych ziemiach się przewalala, siedem lat długich znosiła Polska wojnę, dłużej niż inne narody i państwa. Siedem lat długich Polki i Polacy namyśleć się nie mogli nad zjawiskiem wojny, zjawiskiem nieodłącznym od ich pracy. Siedem lat długich wojna, o której przez suplikacje głośno wołają: „Od ognia, głodu i wojny racz nas zbawić, Panie” siedem lat długich wojna Polskę i Polaków uczyła.

Gdy myślę o dziejach tak oryginalnych naszego państwa, naszego narodu, gdy myślą się przenoszę do dawnych czasów, gdy Polska z map świata, jako państwo polityczne, wymazana była, widzę historię, wielką mistrzynię życia, jak cicho stapa, zbiera swoje żywoty, zbiera wszystkie grozy świata, wszystkie jego radości. Myślę, że gdy przychodzi ona tak, jak ongi przed upadkiem Rzeczypospolitej, tak i teraz, i po naszej ziemi, po naszych sadach, tak samo cicho, patrząc na ludzi, zbierając wszystkie mądrości i wszystkie głuportę, to sądzę, że nicaraz wiele musi prawd przepuszczać, i tylko dzięki zaiste niepojętej, a tak wielkiej i niezbadanej ilości boskiej, ludzkiej w tym kraju nie na czworakach chodzą, a na dwóch nogach, udając człowieka.

Tak dużo wojny widzieć i tak mało o niej rozumieć! Lecz widac niezbadana jest liść Boża i dlatego nieraz w pięknych oczach historii bliskajki, być może, mylnie, ale dla mnie radosne światła.

Pozwólcie mi, panie i panowie, do stałych przetrząść, jakie Polska otrzymuje, jakie Polska ma przy przemienieniach nad zwykłym codziennym dodać i przestrogę moją, by pracy wojennej, pracy naczelnych wódzów, nie lekceważył i nie tak okrutnie 10sem Rzeczypospolitej się bawił.

*) znaczący bojową.

DYMISJA RZĄDU

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

Kryzys w rządzie polskim na tle polityki premiera Mikołajczyka wobec Rosji sowieckiej był przewidywany od dość dawna. Dymisja premiera nie mogła być też zaskoczeniem dla ludzi orientujących się jako tako w stosunkach londyńskich.

Premier potrafił przez długi okres czasu narzucać swym kolegom w rządzie swój punkt widzenia napotykając jedynie na opór niektórych socjalistów. Przypominały, że socjaliści przeciwstawiali swego czasu planowi premiera Mikołajczyka założenia zarządu polsko-sowieckiego, słynnemu memorandum, własny plan, który uzależniał wszczęcie i realizację układu z Rosją od poprzedniego nawiązania normalnych stosunków dyplomatycznych między obu krajami. Warunek ten tak oczywisty i, jak wykazywały dalsze wydarzenia, przewidywany, został odrzucony przez większość Rady Ministrów. Zachowała się natomiast linia taktyczna p. Mikołajczyka.

Przewaga jego poglądów w rządzie utrzymywała się długo jeszcze, bo aż do drugiej jego wyprawy do Moskwy. Jeżeli wierzyć „Timesowi” p. Mikołajczyk spotkał się w Moskwie z następującymi propozycjami: przyjęcie linii Czuczona na wschodzie przy zapewnieniu terytorialnej kompensaty w Prusach Wschodnich, na Pomorzu i na Śląsku na koszt Niemiec; utworzenie rządu polskiego, w skład którego weszliby członkowie komitetu lubelskiego; natychmiastowe porzucenie konstytucji z r. 1939.

Jakie były i czy w ogóle istniały kontrpropozycje polskie — tego nie wiemy. Na tomiasz z głosów sprawy wynikało, że koła rządowe polskie wysuwały z grubsza biorąc postulat utrzymania przy Polsce Lwowa i zagębia naftowego, domagali się dalej ustalenia już obecnie zachodnich granic Polski, wreszcie uzależniały podpisanie układu od udzielenia dla niego gwarancji przez W. Brytanię i Stany Zjednoczone.

Znowu nie wiemy, czy kontrpropozycje te były odrzucone przez Rosję, czy też p. Mikołajczyk skłonny był iść dalej w ustępstwach, być do jakiegokolwiek układu doprowadzić. Faktem jednak pozostaje, że poglądy jego spotkały się tym razem z oporem większości członków rządu i większości stronnictw rząd popierających. „Jedynie mniejszość gabinetu — pisał „Daily Herald” — wypowiedziała się za kontynuowaniem rokowań z Rosją”.

Prasa angielska twierdziła, że odmowa Stanów Zjednoczonych zagwarantowania ustalonych z Rosją nowych granic Polski, jak i całego układu polsko-rosyjskiego stała się ostatecznie przyczyną załamania się polityki p. Mikołajczyka. Prasa amerykańska usiłowała temu zaprzeczyć, twierdząc, że stanowisko Waszyngtonu nie wpłynęło na kryzys rządowy, gdyż podobno „p. Mikołajczyk i jego przedstawiciele w Ameryce (cytuujemy za „Stars and Stripes”) oświadczyli, że nie mogliby przyjąć żadnego układu, który nie spotkałby się z poparciem większości rządu”.

Co prawda, p. Mikołajczyk nie bardzo liczył się w czasie swego urzędowania z większością narodu — sam przecież oświadczył w pewnej chwili, że przekrocząć pełnomocnictwa otrzymane od kraju — faktem jednak pozostaje, że opór przeciw jego polityce wzmoził się w społeczeństwie polskim zdecydowanie w ostatnich miesiącach.

Rola Warszawy

Punktem zwrotnym była Warszawa. Powstanie warszawskie otworzyło oczy narowi najbardziej zaslepionym. Okoliczności wówczas jeszcze czyniły zbrojnomu stolicy przekazywać kraj, że ustępstwa czynione Rosji w rokowaniach są bezcelowe, gdyż Rosja zamierza realizować w stosunku do Polski swój własny plan, chce iść drogą faktów dokonanych i żadnymi zobowiązaniami, czy podpisami nie zamierza wiązać się w stosunku do jakiegokolwiek czynnika polskiego pretendującego do roli partnera. To jest punkt wyjścia dla zrozumienia gry w sprawie polskiej.

Taktyka p. Mikołajczyka wobec Rosji nie mogła zatem dać żadnych, tak pożądaných przez politykę brytyjską wyników, nie dawała ich również w przyszłości, gdyby prowadzona była dalej. Na każde ustępstwo polskie odpowiadała Moskwa stawianiem dalszych i coraz to innych żądań, które stopniowo zapędzały nas w sytuację bez wyjścia, budząc coraz większy rozdźwięk między polityką rządu, niezakompromisowaną społecznością naszego, a bezkompromisową postawą walczącego narodu. Ponadto wywarzała ona w świecie wrażenie, że jesteśmy skłonni wyzwać się stopniowo naszych praw suwerennych, których zarysy, jak i zarysy naszych granic, coraz bardziej zacierali się w oczach opinii międzynarodowej. Oto dlaczego taktyka p. Mikołajczyka doprowadziła w końcu do impasu.

Opór kraju

Do takich widocznie wniosków doszedł kraj, a jego poglądy nie mogły już budzić

dalszych wątpliwości. Sprawdzaniem jego istotnych nastrojów mogło być choćby sta. nowisko zajęte przez przedstawicieli skrajnie sobie przeciwstawnych skrzydeł naszego życia politycznego: Stronnictwa Narodowego i Polskiej Partii Socjalistycznej, którego przewodzący p. Zygmunt Beresowski i Tomasz Arciszewski, przybywający stosunkowo niedawno z kraju do Londynu, przychylili się natychmiast do kol zajmujących stanowisko krytyczne wobec polityki, którą prowadzi p. Mikołajczyk. Stanowisko całej niemal emigracji polskiej w tej sprawie jak i jednolita postawa sił zbrojnych za granicami kraju były również wszystkim dobrze znane.

Prezydent Rzeczypospolitej przyjąwszy ustąpienie p. Mikołajczyka powierzył misję utworzenia nowego rządu socjalistom nacjwiera p. Kwapińskiego, następnie p. Arciszewskiemu. Wiadomo już, że misja p. Kwapińskiego natrafiła na trudności wskutek stanowiska Stronnictwa Ludowego, które odmówiło wejścia do rządu utworzonego przez p. Kwapińskiego i w praktyce gotowe było popierać tylko taką gabinet, ktoromu przewodniczyłby p. Mikołajczyk.

Powózko mało stosowne, jak na chwilę obecną, gry partyjne mogłoby w warunkach normalnych łatwo rozwiązać powodując w ostateczności rząd bądź czysto socjalistyczny, bądź oparty na kilku stronnictwach z wyłączeniem ludowego, bądź też gabinet fachowców. W warunkach emigracyjnych sprawa jest trudniejsza, albowiem zagadnieniami kryzysu naszego zajęły się czynniki również zagraniczne wywarzające ciekawość przesilenia ponurą atmosferą.

„The Stars and Stripes” uznały więc, że kryzys doprowadził do „stanu niebezpiecznego” stosunków polsko-rosyjskie. Pismo obawiało się w szczególności, że rząd sowiecki, ciałt znać może każdej chwili komitet lubelski za rząd, a wówczas „W. Brytania i Stany Zjednoczone będą postawione wobec faktu uznawania przez siebie polskiego rządu w Londynie nie posiadającego ziemi”. Pismo przynajmniej poprawdą, że polskie instytucje państwowe w Londynie popierane są przez większość narodu polskiego i że „miałoby być dowodem, które świadczyłoby o szerokim popieraniu przez społeczeństwo polskie podtrzymanego przez Sowietów komitetu lubelskiego”.

Według „Sunday Times” zaś ambasador amerykański w Moskwie Harriman miał wskazać p. Mikołajczykowski przed jego ustąpieniem na „niebezpieczeństwo prowadzenia dalekiej niezdecydowanej polityki szczególnie w obliczu wstępującej siły komitetu lubelskiego i nieuniknionej nowej ofensywy armii sowieckiej, która — jak oczekują — uchwiliłi Warszawę i Kraków. Przeniesienie administracji do stolicy polskiej stworzyłoby poważne międzynarodowe komplikacje i jeszcze bardziej utrudniłoby rozwiązanie całego zagadnienia”.

Ze swej strony „Daily Mail” pisał m.in. „Rząd brytyjski uczynił wszystko, co było w jego mocy, by doprowadzić do porozumienia między rządem polskim w Londynie i tym (?) w Lublinie... Mikołajczyk był zawsze najbardziej możliwym do przyjęcia dla Stalina i widoki ostatecznego porozumienia były dobre... Rząd brytyjski nie może się mieszać w wewnętrzne sprawy rządu polskiego, lecz zawsze było pragnieniem Churchilla utrzymać i pogłębić jedność wśród narodów zjednoczonych. Ustąpienie Mikołajczyka będzie ciosem dla nadziei, które były podstawą wszystkich jego wysiłków”.

Wyjazd do Lublina?

Łącząc z tymi głosami ukazały się wiadomości o rozmowach p. Edena, a następnie premiera Churchilla z b. premierem Mikołajczykiem i b. ministrem spraw zag. Homerem. W „The Stars and Stripes” natomiast pojawiały się notatki, których treść nie odpowiadała zapewnieniom o niemianowaniu się rządu brytyjskiego w wewnętrzne sprawy polskie, a mianowicie w dniu 28 listopada pismo to zaznaczało:

„Jeżeli nie uda się socjalistom (tworzącemu rządu koalicyjnego), uważa się za rzecz wątpliwą, by rząd brytyjski i sprzymierzone, które popierały wysiłki b. premiera Mikołajczyka dla doprowadzenia do zbliżenia polsko-rosyjskiego, mogły uznać gabinet, w którym zabrakłoby reprezentacji Stronnictwa Ludowego”.

Dnia następnego „The Stars and Stripes” pisały: „Agencja „United Press” donosiła, że „wpływywe choć niepełnie kół” wywierają silny nacisk na p. Mikołajczyka, by powrócił on już teraz do Polski i skorzystał ze sposobności dla wzięcia udziału w utworzeniu nowego rządu. Koła te

— twierdziła „United Press” — uważają, że psychologicznie stosowna chwila wpa. du mu w ręce dla rozwiązania zagadnienia. Przewidywano, że Mikołajczyk nie ukrywał, iż przybycie Mikołajczyka do Polski oraz jego udział w utworzeniu nowej władzy rządowej stworzyłyby pożyteczną aktywność i przyczyniły się do rozwiązania wielu zagadnień społecznych. Koła te przynajmniej, że Mikołajczyk jako przewodca największej partii polskiej, Stronnictwa Ludowego, posiada znaczne poparcie wśród chłopów i dlatego powitają go jako czynnik stabilizujący system lubelski”.

Możliwość rozwiązania kryzysu są rozległe, a jego następstwa mogą być nieobliczalne. Nie będziemy wszakże bawili się w horoskopy. Wydaje się tylko, że ważny etap polityki p. Mikołajczyka, zamykający dotychczasową jego politykę, która wymagałabędzie nowych metod pracy.

Nowa sytuacja

Polski kryzys rządowy ma trzy aspekty. Dotyczy nowego ułożenia stosunku do Rosji, skoro metoda p. Mikołajczyka nie dała rezultatu. Zabiega poważnie o sprawę wyświeślenia pod wielu względami naszej pozycji w obzoe sprzymierzonych. Wreszcie znajduje swe podstawy w kryzysie, który objął nasze życie polityczne w Anglii, a wyrażał się między innymi w zgłoszeniu w Radzie Narodowej, volum „uczciwości jej przewodniczącemu, prof. Grabskiemu, który dwukrotnie wraz z p. Mikołajczykiem jeździł do Moskwy. Kryzys ten objął wszystkie niemal stronnictwa, dzieląc tam ludzi, niezależnie od ich przynależności w innych sprawach, na dwa niejako obozy, reprezentujące dwa odmienne punkty widzenia na polskie cele wojny i zasadnicze zagadnienia państwowe w związku z sprawą stosunku do Rosji.

Bez względu jak rozwinąć będzie kryzys, fakt istnienia oboj dwóch kierunków zaczęły poważnie na dalszym biegu wydarzeń i układzie sił. Chociaż wierzyć, że kryzys przyczyni się do wyświeślenia naszych spraw na wielu odcinkach i że do on początek w tej czy innej postaci politycznej, która istnieć chce, się będzie poparciem narodu i będzie wyrazem jego aspiracji niepodległościowych. Wejście do pracy nad urzeczywistnieniem celów wojny Polski wszystkich jej politycznych sił twórczych jest szczególnie naglące w chwili, kiedy stanęliśmy wobec trudności bezprzykłądnych. Opanowanie ich wymagać będzie nie tylko łęgiej głow i dobrych nerwów, bo politykę robi się głową, a nie nerwami, ale także i twardości woli, determinacji i woli okazywanej przy skutaniu zwycięstwa z każdej, choćby najczystszej sytuacji przez negocjowanie na wydarzenia zawsze czynną postawą, zawsze pozytywnym planem konsekwentnie realizowanym.

Kryzys włoski

Kryzys polski nie jest jedyny w tej chwili. Jeżeli pominiemy zmianę na stanowisku ministra spraw zagranicznych Stanów Zjednoczonych, gdzie po starym i schorowanym Cordell Hullu objął tę rolę młody i energiczny przedstawiciel przemysłu Stettinusa, istnieją w tej chwili kryzysy w rządach włoskim, belgijskim, szwajcarskim, nie mówiąc o trwałym stanie zapalny w Grecji i we Francji.

Premier włoski Ivanoe Bonomi, który objął władzę bezpośrednio po osobobodzeniu Rzymu jako prezydent, rzymskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego podał się do dymisji po pięćmiesiącznym sprawowaniu władzy. Gabinet Bonomićego był trzecim z rzędu od czasu przejścia Włoch do obozu anty-niemieckiego.

Rządy Bonomićego uzyskawszy pewne sukcesy w dziedzinie polityki zagranicznej (wymiana ambasad z mocarstwami sprzymierzonymi) nie zdolali jednak zrealizować zasadniczego postulat Włoch, mianowicie uznania za sprzymierzone. Zapewnić się natomiast przedstawiała się sprawa, jeśli chodzi o politykę wewnątrz. Gabinet ten nie miał w gruncie rzeczy niczego szerszego poparcia. Był albowiem ostro z jednej strony przez prawicowe stronnictwa znajdujące się poza blokiem rządowym Komitetu Wyzwolenia, a z drugiej strony był przedmiotem również energicznych ataków ze strony socjalistów i komunistów. Obie te skrajne partie, wchodzące w skład rządu, wywoływały równocześnie w kraju nieustanne zamieszki, sabotowały akcje władz administracyjnych i agitowały ludność zarówno przeciw rządowi jak i przeciw władzom alianckim. Ta cała sytuacja okazała się wreszcie nie do utrzymania i wrzód pękł ostatecznie.

Cechą charakterystyczną rozwijającego się przesilenia jest, że Namiestnik Gen.

Król, ks. Umberto, nie ogranicza swoich rozmów do przedstawicieli szczeru Partii Komitetu Wyzwolenia, ale zasięga opinii również przedstawicieli innych kierunków. Równocześnie w łonie Komitetu doszło do ostrego kryzysu; Sforza złożył jego przewodnictwo i opuścił Otrady. Tak samo postąpiła najbliższa mu Partia Czynu. Prasa stwierdza rozkład dotychczasowej koalicji rządowej. Podstawy współdziałania pomiędzy stronnictwami demokratycznymi a blokiem socjal-komunistycznym nie wytrzymały próby czasu. Prócz tego stało się wiadomym, że rząd angielski wypowiedział się przeciw objęciu teki spraw zagranicznych przez Sforzę, uważanego za zwolennika daleko idącego zbliżenia do Rosji Sow.

Należy się spodziewać dalszego do władzy rządu o bardziej wyraźnym obliczu.

Od Belgii po Jugosławię

Po ustąpieniu z rządu belgijskiego dwóch komunistów nie ustaje w Belgii stan niepokojącego wrzenia. Partia komunistyczna nie zwalając na to, że Belgia jest krajem przyfrontowym, przystąpiła tam do strajku generalnego, a nawet myśli o rewolucji, czego przedsmakami były kłówe rozruchy i o czym otwarcie mówił premier Pierlot po otrzymaniu obrzydliwej większości (socjaliści belgijscy popierają rząd) szerokiej pełnomocnictw od parlamentu. Premier zapowiedział studnienie zamieszki i szczególnie ostro ostrzegł pismo komunistyczne „Drapeau Rouge”. Należy zapytać w czym interesie i dlaczego usiłuje się wywołać rewolucję w kraju odciążonym zaledwie o kilkadziesiąt kilometrów od najeźźszego odwieka frontu?

We Francji nie ustaje nagłona przeciw gen. de Gaulle mimo wyjazdu jego do Moskwy i wszystkich jego przemówień oświadczeń o Rosji ziozonych niedawno. Ostatnio szefowa Francja zarzuciła się brak jego poparcia dla zwycięstw dążących do obalenia rządu gen. Franco w Hiszpanii.

W Szwajcarii ustąpienie ministra spraw zagranicznych p. Pilet-Gotz spowodowało odmowy Rosji nawiązania stosunków dyplomatycznych z tym krajem wywołało żywą reakcję w społeczeństwie. Na wspólnym zebraniu stronnictw liberalno-demokratycznych zaprotestowano przeciwko uleganiu w polityce zagranicznej obcym wpływom i „uzależnianiu składu rządu od żądy lub sprzeciwu obcych państw”.

Z Belgradu, w Jugosławii, wyrzucano korespondenta wojennego amerykańskiej agencji United Press Packard. Dokonały też władze cenzorskie marsz. Tito, którym nie podobała się korespondencja Packarda, stwierdzająca, że na ulicach Belgradu widac portrety Stalina i Tito, nie ma natomiast zdjęć Roosevelta i Churchilla.

Na objawy wszystkich tych kryzysów zwrócono uwagę w prasie. „New York Herald Tribune” pisząc o przesileniach włoskim, belgijskim i polskim, stwierdzał m. inn: „Istnieją pewne zasadnicze i wspólne zagadnienia dla wszystkich tych rządów, zagadnienia, których żaden rozum ludzki nie rozwiąże całkowicie póki wojna trwa”. „Również „Times” wyrażał niepokój o spowodowanie rozwoju sytuacji i apelował o władze alianckich, by nigdzie nie bogkotowały takich czy innych ideologii.

Czy to dobre efekty wystarczą wobec tak niejednorodnych faktów, jakim są choćby ruchy w Belgii? Błąd zadniczy tkwi w samej koncepcji stref wpływów. Lecz czy koncepcja ta nie jest już przestarzała i czy jest przestrzegana? Odrzuca ją Francja, skoro jej minister spraw zagranicznych oświadcza, że rząd jego nie przystąpi do żadnego układu, w którym nie byłoby Rosji. Jednocześnie w Moskwie wystąpiło z krytyką koncepcji bloku państw zachodnich. Rosja widzi również i w tej idei „kordon sanitarny”, skierowany przeciwko niej. Poprzeźdnie dopatrywała się podobnej tendencji w każdym związku Polski z państwami Europy środkowej. Polityka brytyjska, jak twierdził w Waszyngtonie, wycofuje się już pod wpływem sprzeciwów sowieckich i z tej koncepcji, rezygnując powoli z idei bloku zachodniego. Nie nie slobła „L'ambasiat, by ze swego bloku rezygnowała Rosja sowiecka.

Wszystko to dzieje się w chwili, gdy przegolowywany jest zjazd przewodców trzech wielkich mocarstw i gdy zagadnieniami ostatecznego pokonania Niemiec i Japonii mówiących sukcesów aliantów w Alzacji i zającia Strasburga, walki na linii Akwizgran-Kolonia należą do najkrwawiejszych w tej wojnie i nie dają jeszcze wyników. W Chinach natomiast trwa ofensywa japońska, która doprowadziła do przepołwienia terytorium chińskiego, zagrożenia Chunksingów i odebrania Amerykanom lotnisk. Rok 1944 nie kończy się tak różowo, jak ogólnie przypuszczano.

NIEPRZEJEDNANE MALARSTWO

Polscy malarze-żołnierze zaledwie znaleźli się na gruncie Włoch, rzec by można ojezyny malarstwa europejskiego, wzięli się jeszcze intensywniej niż kiedykolwiek do pracy, mając na celu urządzenie wystawy w okolicznościach dość specjalnych, jeśli nie wyjątkowych, bo nie tylko w Wiecznym Mieście, ale i mieście o odwiecznych tradycjach artystycznych. I przynajmniej trzeba, że skoro tylko koledy wiosey zetknęły się z ówczesnymi studiów i poszukiwań polskich malarzy, odnieśli się do nich z całym szacunkiem, sympatią i życzliwością. Stworzyli im w ten sposób takie warunki pracy i taką atmosferę, która jest niezbędna dla wydobycia z siebie maksimum sprawności artystycznej. Znowu malarze-żołnierze zareagowali aktywnie na sytuację, w której się znaleźli, i odsunęszy nieco od siebie dorobek, zdobyły na Srodkowym Wschodzie, nie wyrzekając się go bynajmniej, postanowiły dość zgodnie rozpocząć następny etap w swej twórczości artystycznej.

Nie dali się przynęcić narożniem w tym arcykulturalnym środowisku tradycji artystycznej, ani też zwiesie przymianom skrajnej awangardy włoskiej. Z oczami napętnionymi jeszcze blaskiem światła z afroazjatyckich rubież, który im paletę rozjaśnił do niemal pełnego natężenia i czystości barw, trwając przy swych podstawowych idealach sztuki czystej, malarstwa czysto malarskiego, namalowali — rzekliby sami „machnili” — serię nowych prac, ilustrujących w sposób niedparły postęp w ich dojrzałości twórczej. Postęp, o ile tylko w sztuce można tym słowem nazwać osiągnięcia, które budzą we wrażliwym na to widzu poczucie większego rozmachu, większej pełni i większego zadowolenia.

Otwarcie wystawy

Po kilkumiesięcznej pracy, dokonanej w użyczonych im gościnie przez malarzy włoskich pracowniach na ul. Margutta, położonej tuż za znaną nam, Polakom ul. del Babuino, gdzie w swoim czasie mieszkał Słowacki, polscy malarze-żołnierze mogli już sproszyć całą elitę kulturalną i towarzyską Rzymu na otwarcie swej wystawy, które nastąpiło w ub. sobotę, dnia 25 listopada 1944 r. Urządzona została ona przez Oddział Kultury i Prasy 2. Korpusu pod protektoratem jego dowódcy, gen. Władysława Andersa. Cztery pomieszczenia w znanym z licznych pokazów sztuki lokalu „Circolo artistico internazionale”, na tejże ul. Margutta pod nr 54, zapelnily się istotnie podczas inauguracji tłumem zwiedzających. Było ich poprostu tylu, że sobie wyczer — dla czegoż otwarcie nie powiedzieć — uzajemnie i mimowoli przekazywali w oglądaniu tej poltorasetki, przeważnie nowych, obrazów i rysunków naszych malarzy, nam także nieznanych z poprzednich ich wystaw w Tel Awi, Aleksandrii, Jerozolimie, Kairze, Bagdadzie, Bejrucie i gdzie tam jeszcze prowadziły szlaki naszych wojennych wydrwek.

Po krótkim cere dła prasy oficjalnego otwarcia wystawy dokonał o godz. 16. konsul generalny R.P. w Rzymie p. Wierusz-Kowalski. W krótkim zagajeniu podkreślił

on przy tym sens tej manifestacji artystycznej, ujęty w przekrotnym motto wystawy, iż „inter arma non silent musae” (podczas wojny muzy nie milczą), skierowemu to hasłu artyści-żołnierze nie sprzeciwiają się na obczyźnie. Ponadto powitał zebrane osobistości polskie i obec, więc przede wszystkim ambasadora. R. P. przy Watykanie Pappęgo, włoskiego min. oświaty Ruggero, brytyjskiego komendanta garnizonu rzymskiego gen Browna, francuskiego gen. Daudin, przedstawicieli placówek dyplomatycznych i wojsk sprzymierzonych, armii polskiej, wyższego duchowieństwa katolickiego, oraz licznie zebrane go społeczeństwa włoskiego.

W imieniu przybyłych — in gremio chyba — artystów włoskich przemawiał prezes zrzeszenia artystycznego, które udzieliło gościnę wystawie, p. Dulio Cambellotti.

Uczestnicy

Wystawę obeślano licząc 12 artystów-żołnierzy polskich, uwzględniając w tym prace jednego, który poległ pod Monte Cas-

Pod względem czysto malarskim jeszcze może szersza jest u Turkiewicza różnorodność ujęć nacechowanych dążeniem do niezwykłości, oryginalności, czy też tego, co nazywane jest sensacyjnością. Jakże więc odrębne jest ujęcie kwiatów (nr 53 i 48), namalowanych zaledwie w rocznym odstępie czasu i kompozycyjnie silnie pod wpływem stylu orientального, perskiego czy też japońskiego, jak akty nr 54 i 56. Bliższą analizę rysunków podana została i na tych łamach w recenzji z albumu poświęconego Monte Cassino.

Z kilku prac Westwalewicz uwzględnionych w katalogu przebiega znów nie tylko celowa metoda pracy, ale i jakaś wewnętrzna harmonia w zestrojeniu całości każdej kompozycji, świadcząca o łatwości w krystalizowaniu się u artysty momentu poetyckiego: czy to gdy chodzi o martwą naturę, jak w wypadku cytryn (nr 86), czy pejzaży ze Srodkowego Wschodu, choć faktury pozostały one jeszcze przy etapie czystego dźwięczności, czyli operowania drobną stosunkowo plamą kolorystyczną i

Konfrontacja z klasycyzmem

Rzecz jasna, że inaczej wypadnie ocena wystawy, jeśli skonfrontować ją ze szczytnymi osiągnięciami malarstwa historycznego, czy muzealnego. W nich bowiem skupił się geniusz malarski na przestrzeni



Adolf Gletta — studium głowy męskiej

długich dziejów i przejawil nie w zakresie jednego tylko, choć podstawowego, zagadnienia malarskiego. Obok niego bowiem w dziełach takich mistrzów, jak Pinturicchio, Leonardo da Vinci, Rafael, Tycjan, Rubens, Veroneze, itd. mamy również sprawę doboru tematu, więc moment literacki, lub dramatyczny, kwestię wyrazu wewnętrznego, anatomii, wykończenia, czy też ukręcia faktury malarskiej, itd. Komplikują one dzieło sztuki, ale i urozmaicają je, wzbogacając przeżycie estetyczne, udośćpniając, a niekiedy wręcz przemycając do świadomości widza rozwiązanie właściwego zagadnienia czysto malarskiego.

Dla tego też dla widza nawet nie pozbawionego wyrobienia artystycznego, ale oceniającego obraz tylko według jego wrażenia ogólnego i bezpośredniego, występują nie bez przyczyny w zetknięciu z przejawami nowoczesnego malarstwa jakieś uczucie niedosytu, obojętności, odierwania od życia, monotonii graniczącej z nudą niekiedy, a przy tym niezrozumiałego dzwacwa, uporu, nieporadności, wręcz obstwa wewnętrznego. To są pasywa, które w ogólnoludzkim bilansie sztuki spadają nie na tę, czy inną wystawę lub grupkę artystów współczesnych, ale chyba na całą epokę, która w malarstwie awangardowym przeważa i konfrontuje się w sposób równie dobitny, jak w nowoczesnej poezji, literaturze, czy muzyce.

Komu te kryzysy, poszukiwania, więc i braki sztuki współczesnej są obec i obojętne, ten dla siebie zerpać może otuchę tylko w nadziei, że gdyż złość się na to okoliczności, pojawiają się nowi geniusze czy giganci malarstwa, którzy zapłodnieni drożdżami fermentującej epoki znów wzbogacą ogólny dorobek kultury dziełami, które w swej wielkości będą równie dostępne dla prostych i malarzy, jak i dla najwybredniejszych i wrażliwionych znawców.

Katalog

Osobne słowa należą się naszemu organizatorowi wystawy za katalog utrzymany na dobrym poziomie wydawniczym. Obejmuje on 16 plansz jednobarwnych i 4 barwne, które dopiero umożliwiając należały ocenę wartości kolorystycznych oryginałów. Wstęp Severiniego zdobną dwa rysunki Józefa Czapskiego, który zamaniestrował nimi nie tyle swój udział, co raczej solidarność z wystawą. Uczynił to w sposób najskromniejszy, co zarówno dla ambicyj artysty, jak i dla ciekawości widza jest bolesne.

Znakomity artysta włoski Gino Severini w swej przedmowie o polskich artystach-malarzach treściwie przedstawil ich postawę artystyczną, podkreślając ich nieprzejednaną malarskość, dążenie do wydobycia elementu poetyckiego w plastyce, unikanie iluzji realistycznej, niemal programową szlachetność i swoiste pojmanie żołnierskiego patriotyzmu w sztuce. Nie bez słuszności. Ratowanie bowiem wartości czysto artystycznych, nawet może z zaniechaniem zadań ilustracyjno-propagandowych w czystej plastyce, może być w tym okresie kryzysu kulturalnego przejawem bojowości i postępowości, choć idzie o obronę idei, które już przed wojną zdobyły sobie pełne prawo obywatelstwa.

On.



Stanisław Westwalewicz — Kwiaty

sino—Romana Burdyły z Wina. Niektórych udział jest skromniejszy, jak Henryka Siedlanowskiego z Łodzi, Stanisława Gliwy ze Lwowa, Tadeusza Waśa z Gdyni, Leopolda Haara z Krakowa i jednego rzeźbiarza w tym gronie — Adolfa Gletta również z Krakowa (3 odlewy); jeśli w tym związku nie liczyć autora 2 rysunków w katalogu, o którym chęćlibyśmy wspomnieć później. Znakomita większość prac jest natomiast pędzla Józefa Jaręmy (Kraków), Zygmunta Turkiewicza (Warszawa), Stanisława Westwalewicz (Kraków), Edwarda Matuszczaka (Katowice), Janiny Boguckiej (Łwów) i Mariana Kościakowskiego (Wino).

Wszystkie prace rozwieszono nie salami lub ścianami, lecz naogół pomieszczano wszystkie ze sobą, co może utrudniać nieotrąskanemu z nimi widzowi, zwłaszcza obokrajowcowi, wyrobienie sobie odróżnienia sylwetki artystycznej każdego z twórców. Wobec niemożności szczegółowego skłasyfikowania poszczególnych dzieł według ich walorów artystycznych, pokusił się wypadła tu przynajmniej o najwięcej-lejszą charakterystykę każdego z malarzy, cytując przykładowo niektóre z bardziej znamienitych jego prac.

Niewątpliwie nie tylko ilością prac, ale i dynamiką poszukiwań na czoło wysuwa się Jaręma. W pracach jego, datujących od 1940—1944 r. uwidocznione są drogi jego rozwoju. Wyprzedzilibyśmy — od programowego dywizjonizmu po coraz swobodniejsze kompozycje plaszczynowe. Oscyluje przy tym między dysonansowymi zestawieniami o pewnej świeżości i trafności, jak w niektórych martwych naturach, a kompozycjami zazwyczaj figuralnymi o dużo trudniej uchwytnym porządku i celu malarskim, jak np. w wypadku aktu nr 1 czy pejzażu (nr 30). Przebiega przy tym całą klawiaturę tematów, wśród których nie brakuje i impresyjnego portretu oficera polskiego.

nie odbieganiu daleko deformacją od przedmiotu rzeczywistego.

Wybijający się dotychczas w grupie artystów-żołnierzy polskich swym temperamentem plastycznym Matuszczak zabłąsnał w grupie świętym typem akwarel z pleneru lewantyńskiego (nr 83) czy też ptiomni tak stonowanymi malarsko, jak w zimnych barwach utrzymany „Rabin” (nr 84), czy trochę dawniejsza natura martwa (nr 81).

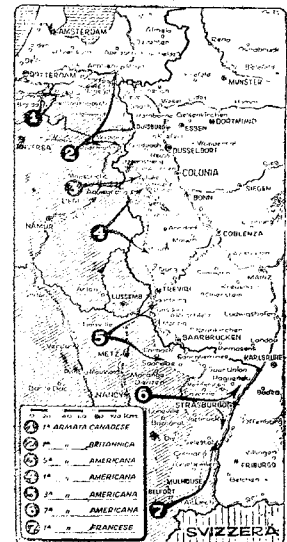
Element dziennej prawie świeżości o pewnym polacie folklorystycznym reprezentuje na wystawie jedyna kobieta biorąca w niej udział, Janina Wolff-Bogucka, tak odważnie i udatnie operująca ostrymi przeciwstawieniami niemal że czystych barw ciepłych i zimnych, czerwieni i zieleni.

Tempera i olejny widok Piazza Colonna (nie: di Spagna — jak omyłkowo podano) Leopolda Haara (nr 125) jest dobrym zadatkiem na drodze do znalezienia osobistego stylu malarskiego.

Tematyczną niesamowitość i swoiste po temu dobrane środki w rysunkach i oleju uosabia Marian Kościakowski w swym wyizymym Siat-el-Arab (nr. 115) i „Bitywie” (nr 114) o spornych jednak wartościach kolorystycznych.

Subtelność kreski i ujęcia łączy prace Siedlanowskiego i Burdyły, jakby osnułe jeszcze smętkiem wspomnień z przebytych przez nich cierpień na wygnaniu w Rosji. Żywość i trafność linii cechuje piórka Waśa, a umiar kompozycyjny i czystość graficzną — Imorty Gliwy.

Piękny dowód jędnego talentu stanowi rze-by Adolfa Gletta, o czym świadczą zarówno mocny modelunek głowy męskiej (nr 130), jak też subtelność stylizacji głowy kobiecej (nr 131). Ujęcie głowy żołnierza w hełmie natomiast jest nowym dowodem, jak trudne i niebezpieczne jest programowe podejście do zadania czysto artystycznego.



Front niemiecki 25.11. b.r. do art. na str. 8.)

CURZIO MALAPARTE

SZCZURY (IX)

— „Polacy są przekonani — rzekł gubernator Fischer — że Chrystus zawsze, nawet w sprawach politycznych, trzyma ich stronę, i że ukochał ich naród ponad wszystkie inne, nawet ponad Niemców. Ich religia i patriotyzm pod tym względem są istotnie dziecinne”.

— „Na swoje szczęście — powiedział Frank z grubym śmiechem — Chrystus posiada zbyt dobry wdech, by się zajmować polnische Wirtschaft. Sciągnąby sobie na głowę za wiele kłopotów”.

— „Nawcz-vous pas honte de blasphemier ainsi?” („Nie wsłdy Panu jak bliźni?”), przerwała swoim miłym akcentem wiedeńskim Frau Waechter, gromiąc palcem Frankowi.

— „Obiecuję pani, że więcej nie będę — odparł Frank, jak dziecko przyłapano na gorącym uczynku; po czym dodał śmiejąc się: — gdybym był pewien, że Chrystus posiada dwie pięści, jak Schmelzing, z całą pewnością mówilibym o Nim ostrożnie”.

— „Si Jesus Christ etait un boxer — rzekła Frau Waechter — il vous aurait deja mis knock-out”. („Gdyby Chrystus był bokserem, już by pan otrzymał knock-out”).

Wszystcyśmy się roześmieli, Frank zaś skłaniając się z galanterią zapytał Frau Waechter, jakim ciemem, podług niej, Chrystus wymierzył mu knock-out.

— „Herr Schmelzing umiały lepiej na to, niż ja, odpowiedzieć”, odparła Frau Waechter.

— „Odpowiedź nie jest trudna — odczytał się Schmelzing uważnie obserwując twarz Franka, jak gdyby w niej szukał odpowiedniego miejsca dla swej pięści — jakimkolwiek ciemem. Pan ma słabą głowę”.

— „Słabą głowę?” wykrzyknął Frank czerwieniąc się. Przeciwną dłonią po twarzy śląc się na to spokojnie, ale widąc było, że był urażony. Śmiełszy się wszyscy do rozpunku, Frau Waechter zwiastowała oświadczenia, że nie ma nic przeciw temu, aby się przyłączyła do śmiechu. Frau Brigitte jednak uchwyliła sposobny moment, żeby dopomóc Frankowi i zwracając się do mnie powiedziała: „General-gouverneur otacza wielką przyjaźnią duchowieństwo: jest on w Polsce prawdziwym protektorem religii katolickiej”.

— „Ah! naprawdę?” zawołałem udając szczerą i radośne zdumienie.

— „Duchowieństwo polskie — Frank rzucił się z radością na okazję do zmiany rozmowy — w pierwszych czasach mnie nie lubio. Co do mnie, miałem i ja poważne powody, aby nie być zadowolonym z księży. Po ostatnich jednak wydarzeniach wojennych w Rosji również i duchowieństwo do mnie się zbliżyło. A wie pan dlaczego? Bo się boi, żeby Rosja nie zwyciężyła Niemiec. Ah! ah! ah! Sehr amusant, nicht wahr?” *

— „Ja, sehr amusant”, rzekłem.

— „Pomiędzy duchowieństwem polskim i mną panuje w tej chwili najzwyklejsza zgoda. Co nie przeszkadza, że ja nie zmieniłem i nie zmienię ani na jotę zasadniczych linii mego polityki religijnej w Polsce. Tym czego potrzebna, ażeby zacząć się szanować w takim, jak ten kraj, jest pewna logika. I ja jestem i pozostanę zgodny z samym sobą. Polska arystokracja! Nie znam jej. Nie bywam u niej. Nie przestępuję progu domów polskiej szlachty, tak jak oni nie przestępują mego progu. Pozwoliłem, ażeby grały w karty i tańczyły w sobotnie w swoich palacach. Grają tedy i zadają mi się tańca i nie domyślają się ku jakiej idą ruinie. Od czasu do czasu otwierają oczy, widzą, że się zmarnowali sami, i wówczas płaczą nad nieszczęściami ojczyzny, oskarżając mnie po francusku, że jestem okrutnym tyranem i wróciłem Polski. Potem zaczynają na nowo śmiać się, grać i tańczyć. Mieszkaństwo? Duża część bogatego mieszczaństwa uciekła za granicę w r. 1939, za wozem rządu Rzeczypospolitej. Jej mieniem zarządzają teraz urzędnicy niemieccy. Ta zaś część, która pozostała w Polsce, śmiertelnie ugodzona niezdolnością wykonywania zawodów wolnych, próbuje jakoś przeżyć pałac swoje ostatnie okryty zamkniętą w opozycji z zasady, złożona ze śmiecinnej gadaniny i daremnych spisków, które tkam i pruję kiedy mi się podoba poza jej placami. Wszyscy Polacy, a zwłaszcza intelektualni, są urodzonymi spiskowcami. Spisek jest ich dominującą pasją. I jeśli co ich poczesa po ruinie i łoski, to właśnie możność dania upustu tej ich dominującej pasji. Ja mam jednak długie ręce i umiem się nimi posługować”.

Himmelrowi, który ręce ma krótkie, śnił się jedynie róższereźwania i obozy koncentracyjne. Czyż on nie rozumie tego, że i Polacy nie obawiają się ani śmierci, ani więzień? Ogniskami patriotycznych intryg były szkoły średnie i uniwersytety.

Zamknąłem je. Do czego mogą służyć szkoły średnie i uniwersytety w kraju bez „Kultur”?

I oto jesteśmy przy proletariacie. Chłopi bogaci się na „czarnym rynku”, ja zaś pozwałam im się bogacić. Dlaczego? Bo „czarny rynek” wypuszcza krew z mieszczaństwa i głód proletariatu przemysłowego, przeskakując w ten sposób połączeniu się we wspólny front robotnikom i chłopom. Robotnicy pracują w milczeniu, pod dozorem swoich techników. Kiedy Rzeczypospolita upadła, polscy technicy nie uciekli za granicę, nie opuścili maszyn i warsztatów; pozostali na swym miejscu.

Technicy i robotnicy są również wrogami, ale wrogami godnymi szacunku. Nie spiskują; pracują. Być może, iż ich powściągliwość stanowi część ich ogólnego planu walki przeciw nam. W kopalniach, fabrykach, warsztatach, krążą ulotki propagandowe komunistycznej, drukowane w Rosji i wprowadzone do Polski po kryjomu. Owe ulotki zachęcają techników i robotników polskich, ażeby nie popinali aktów sabotażu i nie obniżali poziomu, ażeby pracowali ze zwykłą dyscypliną i nie dawali w ten sposób Gestapo żadnego pretekstu do represji przeciwko klasie robotniczej. Jasne zatem, że jeśli klasa robotnicza uda się uniknąć złamania grzbietu przez Himmlera, rozproszenia po obozach i obozach koncentracyjnych, będzie ona jedną z klas pod wojnę, mogącej objąć władzę. O ile, rozumie się, Niemcy przegrają wojnę. A jeżeli Niemcy wygrają, będą się musiały oprzeć w Polsce na jedynej klasie jeszcze na nogach, to znaczy na klasie robotniczej.

Mieszczachstwo polskie oskarża mnie o autorstwo owych ulotek. Jest to kalandria. Nie są one moim dziełem; ale pozwałam im krążyć. W naszym najwyższym interesie leży utrzymanie, dla potrzeb wojennych, wysokiego poziomu polskiej produkcji przemysłowej. Dlategożbyśmy nie mieli dla naszych celów posłużyć się propagandą komunistyczną, kiedy ta zachęca klasę robotniczą, ażeby ją uchronić od zagłady, do niepomniejszenia naszej produkcji wojennej? Interesy Rosji i Niemiec są w całej Europie sobie wrogie. Istnieje jednak punkt, w którym się spotykają i go: utrzymanie niezaruszonej wydajności klasy robotniczej. Aż do dnia, w którym Niemcy zgniją Rosję, albo też Rosja zgniecie Niemcy.

A teraz zabierzmy się do Żydów. W głębokości ciężej są oni zupełną wolnością. Ja nie przesładuję nikogo. Pozwalam, ażeby się szlachta ruinowała grą i zabawiła tańcem, ażeby mieszczaństwo spiskowało, chłopci się bogacili, technicy i robotnicy pracowali. I w wielu wypadkach przysyłam oko”.

— „Przy braniu celu przed wystrzałem — wtrącałem — również się przysyłam oko”.

— „Być może. Ale proszę mi nie przezywać — ciągnął Frank po chwili wahanania. Prawdziwą ojczyznę narodu polskiego, prawdziwą jego Rzeczypospolitą Polską jest religia katolicka. Jedyne ojczyzna, jaka pozostała temu nieszczęśliwemu narodowi. Ja ją szanuję i ochraniaję. W pierwszych chwilach pomiędzy duchowieństwem i mną istniały liczne powody do zaręku. Obecnie sytuacja się zmieniła. Po ostatnich kolejach wojny w Rosji duchowieństwo polskie zmieniło swoją postawę wobec niemieckiej polityki w Polsce. Nie pomaga mi, ale mnie nie zważa”.

Wojnsko niemieckie poniosło porażkę pod murami Moskwy, Hitlerowi nie udało się, albo lepiej, dołąd się jeszcze nie udało, zgnieć Rosję. Duchowieństwo polskie obawia się bardziej Rosjan, niż Niemców, lęka się więc komunistów, niż nazistów. Być może i ja mam rację. Jak pan widzi, mówię z panem bardzo szczerze. I jestem mi szczerzy nawet, kiedy mówię, że schylił głowę przed polskim Chrystusem. Mógłby mi pan może zarzucić, że skłaniając się przed Nim dlatego, że jest bezbrojny. Ale skłoniłbym się przed polskim Chrystusem również, gdyby był uzbrojony w karabin maszynowy. Tak bowiem chce interes Niemiec i moje sumienie niemieckiego katolika.

Na jedno tylko oskarżenie powinienem odpowiedzieć polskiemu duchowieństwu: że zabroniłem pielgrzymek do sanktuarium Matki Boskiej w Częstochowie. Ale to było moje prawo. Byłoby rzeczą bardzo niebezpieczną dla spokoju niemieckiej okupacji w Polsce — pozwolić na zbieranie się co jakiś czas dokoła tego sanktuarium tłumów setek tysięcy fanatyków. Co roku blisko

dwa miliony wiernych zwiedzają klasztor czystochowski. Zabroniłem więc pielgrzymek, zabroniłem publicznego odświadczenia obrazu. Z każdego innego mego postępku muszę zdać sprawę jedynie przed moim Fuehrerem i mym własnym sumieniem”.

Tutaj nagle urwał i rozejrzął się dokoła. Mówił jednym tchem, ze smutną i gniewną cłokewnością. Patrzył nam wszystkim milcząco. Frau Brigitte cicho płakała usmiechając się przez łzy, Frau Waechter i Frau Fischer, wzruszone, nie odrywały oczu od wilgotnego od potu obliza general-gouverneura. Zaciężyła mi owa cisza i począłem dyskretnie kaszleć. Frank, ocierając sobie chustką czoło, zwrócił się do mnie i utkwivszy we mnie wzrok przez dłuższą chwilę, usmiechając się, zapytał: „Widział pan Częstochowę, nicht wahr?”

Byłem w Częstochowie parę dni przedtem, ażeby zwiedzić słynne sanktuarium w klasztorze mnichów, należących do rzymsko-katolickiego zakonu Paulinów. Ojciec Mendera oprowadzał mnie po krypcie, gdzie przechowuje się obraz Matki Bożej, najbardziej czczony w całej Polsce. Jest to obraz w srebrnej oprawie, wyżejżanym bizantyjskim, i nazywają go Czarną Matką Boską dla koloru obliza, które odmyły piómem pożaru, zmniejszone przez Szwedów w czasie obliza. Stadthauptmann, bliski krewny Himmlera, w szczególnej dzięki temu pogardzie i poważaniu u Paulinów, wyjątkowo zezwolił na odsłonięcie przede mną świętego obrazu. Pierwszy to raz od niemieckiej okupacji Polski miał on się ukazać oczom wiernych i zakonnic z rącej tego niespodziewanego wydarzenia pełni bliździł mi i radości.

Przeszedłszy kościół zstępowaliśmy do podziemi, za nami zaś grupa chłopów, którzy widzieli nas kłęcząc w kościele. Dwaj inspektory-naziści Stadthauptmanna, Guenter Laxy i Fritz Greishammer oraz dwaj towarzyszący mi S.S. zatrzymali się na progu krypcy. Guenter Laxy dał znak ojcu Menderze, który spojrzął na mnie zmieszany i rzekł wołosku: „Chłopi”. Odpowiedziałem mu głośno po niemiecku: „Chłopi zostaną tutaj”. W tej chwili nadszedł przeor sanktuarium, chudej, mały staruszek o pomarszczonej twarzy; płakał usmiechnięty i co jakiś czas wycierał nos wielką żółoną chustką. Złoto, srebro, cenne marmury połyskiwały w półcieniu kaplicy. Kłęcząc przed ołtarzem chłopci wbiłi oczy w srebrną zastawę, która zakrywa i ochrania stary obraz Najświętszej Panienci Częstochowskiej. Niekiedy sływało się porządkowanie karabinów obu S.S. nieruchomych na progu.

Nagle głuchy warkot bębna wstrząsnął murami podziemi i przy dźwięku srebrnych trąb, które uderzyły w triumfalne tony Palestriny, podniósł się zwolna zastawa i cała ustana perłami i drogimi kamieniami, iskrami się w rudym blasku świece, ukazała się Czarna Matka Boska z Dzieciątkiem na ręk. Kłęcząc, z twarzami przy ziemi, chłopci płakali. Słyszałem powstrzymanym szloch, uderzenie czołem o marmurową posadzkę. Wołali cicho do Matki Boskiej po imieniu: „Maryja, Maryja”, jak gdyby do kogoś z rodziny, do matki, siostry, córki czy żony. Nie, jednak, nie jak do matki: nie powiedzieli „Maryja”, powiedzieli „Matko”. Była to Matka Chrystusowa, nie ich matka, Matka Chrystusa i tylko Chrystusowa. Ale była ich siostrą, ich żoną, ich córką i wzywali ją cicho po imieniu „Maryja, Maryja”, jakby w obawie, że usłyszą ich S.S. nieruchomi na progu. Głęboki, groźny warkot bębnowy i straszny dźwięk długich, srebrnych trąb uprawiały w drżeniu podstawy sanktuarium; wydawało się, że marmurowe sklepienie lada chwila zawali się nam nad głowę, i teraz chłopci krzyтели „Maryja! Maryja!”, jak gdyby wzywali osobę umarłą; jak gdyby chcieli zbudzić z snu śmiertelnego siostrę, żonę, czy córkę, krzyтели „Maryja! Maryja! Maryja”. W tym momencie przeor i ojciec Mendera wołno się odwrócili, na c i chcieli nagle zamilkły, również odwrócili się wołno, i wszyscy patrzyli na Guentera Laxy i Fritza Greishammera oraz na obu S.S. uzbrojonych w karabiny, z czołem, zakrytym stalowym hełmem, nieruchomych na progu; patrzyli na nich płacząc w milczeniu. Głęboką załuchną w kamieniu warkot bębnowy, przenikliwej zabrzmiły trąb pod marmurowym sklepieniem, podczas kiedy zastawa powoli spadała: Czarna Matka Boska zniła w śliskim zła i kłopotach. Chłopi zwrócili ku mnie twarze zalane łzami, usmiechnięci.

Był to ten sam śmiech, jaki widziałem

pojawiający się niespodziewanie na ustach górników, w kopalniach soli we Wieliczce, niedaleko Krakowa. W ciemnych grotach, wydrążonych w złomach soli, tłum twarzy bladych i wyniszczonych głodem i trwogą ukazał mi się nagle wśród dymiących pochodni, niczym tłum upiórów. Doszedłem do wykutej w soli kaplicy; niewielkiej kaplicy barokowej, wykonanej kłofem i dżutem przez górników pod koniec XVIII w. Posąg Chrystusa, Matki Bożej i świętych wykute były w soli. I owe figury wydawały się górnikami, kłęczącymi przed z soli zbudowanym ołtarzem, albo też cisnącymi się w progu kościoła, ze skórzaną czapką w ręce. Patrzyli na mnie w ciszy i płacząc usmiechali się.

— „W sanktuarium Częstochowy — podają Frank nie dając mi czasu na odpowiedź — usłyszał pan warkot bębnowy i dźwięk srebrnych trąb i także i pan uwerzył, że to właśnie jest głos Polki. Nie, Polska jest niema; bezwładna i niema jak trup. Wielkie i lodowate milczenie Polski silniejsze jest od naszego głosu, naszych krzyków, wystawów naszych karabinów. Walka z polskim narodem jest daremna. Zupa! tak, jak walka z trupem. A przecież żyjemy, że jest żywa, że krew mu krąży w żyłach, że mógł mu drżyć ukryta myśl, że w pierś mu bije nienawistnie silniejsza od ciebie. Zupa! — jak walczyc z żywym trupem. Tak, z żywym trupem. Ah! ah! ah! mein lieber Schmelzing, walczaj pan kiedyś kłofek z trupem?”

— „Nie, nigdy”, odparł Schmelzing głęboko zdziwiony, wbiłając oczy we Franka.

— „A pan, lieber Malaparte?”

— „Nie, nigdy nie walczymy z trupem — odpowiedziałem — ale byłem świadkiem walki pomiędzy ludźmi i zwierzy i ludźmi umarłymi”.

— „Czyż możliwe? — wykrzyknął Frank — i gdzie to?”

Wszystcy patrzyli na mnie uważnie.

— „W Podul Hloaici”, odparłem.

— „W Podul Hloaici? a gdzie jest Podul Hloaici?”

Podul Hloaici znajduje się w Rumunii, na granicy Besarabii. Jest to wieś oddalona o jakieś dwadzieścia mil od Jass w Moldawii. Nie mogę usłyszeć gwizdu lokomotywy w ciągu dnia, ażeby nie pomyśleć: że to Podul Hloaici. Wieś zakurzona, w zakurzonej dolinie, pod błękitnym niebem, pełnym białych chmur kurzu. Dolina jest wąska, zamknięta wśród jasných pagórków, niskich i bezdrzewnych; tu i tam parę kępek akacji, z rzadka jakaś winnica czy utobie pole zboża.

Dają ciepły wiatr, szorstki, nieczym język kota. Zboże już żółte i ściemnia żółte istoty pod śliskim lepkiem i ciężkim. Z do, liny podnosiły się tumany kurzu. Było to pod koniec czerwca 1941 r., parę dni po wielkim pogromie w Jassach. Jechałem samochodem do Podul Hloaici, a za mną włoski konsul w Jassach, Sartori, ten którego wszyscy nazywali „Markizem”; Lino Pellegrini, porządną chłopiec, „Łtapi faszysty”, który z Włoch przybył do Jass z młodą żoną, ażeby tutaj spędzić miodowy miesiąc i wysłał do dzienników Mussoliniego artykuły pełne utęzazmu dla „rudego psa”, Marszałka Antonescu i dla Mihai Antonescu.

Był to najpiękniejszy chłopiec pod słońcem Moldawii, od Alp Transylwańskich po ujście Dunaju; kobiety traciły na jego widok głowę, wychylały się z okien, stały na progu sklepów, kiedy przechodził i wzdychały: „Ah frumos! frumos! piękny! piękny!”

Niemniej był „głupim faszystą”. Poza tym, rozumie się, zazdrościłem mu. Byłbym wołal, ażeby był brzydszy i mniej faszysty i pogardałem nim w głębi serca, przynajmniej aż do dnia, w którym zobaczyłem, jak stawia czoło szcwofi policji w Jassach i krzyczy mu prosto w twarz: „podły morderca”. Przybył do Jass na swój miodowy miesiąc pod bombami sowieckich samolotów i spędzał z żoną nocę w „ada post”, schronie, wykopany podstron górow opuszczonego starożytnego cmentarza. Sartori, „Markiz”, był fatalnym nieopaliłatczykiem, człowiekiem spokojnym i lewnym, ale w owo wielkiego pogromu w Jassach słotrośnie narażał życie, ażeby wyrwać setkę biednych Żydów z rąk zandannów. Teraz jechałszy wszyscy trzej do Podul Hloaici na poszukiwanie właścicieli domu, w którym się mieścił konsulat włoski, adwokata Żyda, uczewiego człowieka, którego zandami ciężko paraliż, uderzenia i kolb w ogrodzie konsulatu i półżywego zabrali ze sobą, przypuszczalnie po to, ażeby skończyć z nim gdzie indziej i nie pozostawić na ziemi dowodu, że zamordowali Żyda w obrębie włoskiego konsulatu.

(Dalszy ciąg nastąpi)

*) Bardzo zabawne, nie prawda?

JAN OLECHOWSKI

Poezja polska wyrusza w świat

Utarło się powszechne przekonanie, że literatura polska jest niedoświadczona dla cudzoziemców. Tak rzadko nazwiska polskich pisarzy przodawały się na arenę międzynarodową, tak niezmiernie słabe wyobrażenia o polskiej twórczości literackiej miał każdy przeciętny cudzoziemiec, że sami wierzylimy w istnienie jakiegoś nieprzebitego muru, który oddziela naszą twórczość od całego świata. Wszelkie próby w kierunku rozważenia tego muru wydawały nam się bezowocne i niemożliwe do przeprowadzenia. Uznaliśmy naszą literaturę za wyłącznie własność narodową, zrozumieliśmy tylko dla Polaków. I jakkolwiek istnieje u nas świadomość bogactwa i wielkości naszej twórczości, przestaliśmy myśleć o możliwości ukazania jej światu i naleźniamy dla niej właściwego miejsca w hierarchii twórczości europejskiej.

Kilka przyczyn zdołało się na ustabilizowanie się tego poglądu. Po pierwsze tłumaczono to zjawisko trudnością języka, wymi. Istotnie znajomość języka polskiego wśród cudzoziemców jest bardzo rzadka, a wynika to nie tylko z małej roli politycznej Polski w ostatnich stuleciach w stosunku do wielkich mocarstw rządzących światem, ale i z rzeczywistych trudności. Trudności te leżą przede wszystkim w jego odrębności od języka angielskiego, francuskiego lub niemieckiego. Język polski posiada obryzmy bogactwo fantazji, która na swój specyficzny wyraz w twórczości literackiej, czystokrotą niezrozumiałej dla cudzoziemca. Jako przykład w porównaniu z językiem angielskim może służyć podział języka polskiego na rodzaje: męski, żeński i nijaki. Pojęcie takie jak np. las, wiatr, zamek, wieczór, sen, sił rodzaju męskiego, a znowu—woda, śmierć, poezja, myśl, praca, sił rodzaju żeńskiego. Nadaje to pojęciom tym nie tylko element życia, ale i płci, podczas gdy w języku angielskim objęte są one prawie całkowicie rodzajem nijakim, a więc odarte z uroku elementu życia. Stąd też sam język polski dłaćca całkiem odrębnie na wyobraźnię twórcy. Takich porównań można wykazać wiele, a wskazują one, że istotnie niełatwą jest rzeczą tłumaczyć z języka polskiego. Mimo to jednak możliwości tłumaczenia istnieją zawsze i zdaje się, że główną jednak przyczyną braku rozpowszechnienia polskiej twórczości literackiej wśród cudzoziemców był nasz własny fałszywy stosunek do tej twórczości.

Traktujemy naszą literaturę jak twórczość tak specyficzną narodową, tak dalece pochłoniętą sprawami wyłącznie polskimi, że nie jest ona w stanie zainteresować cudzoziemców. Zapominamy, że w każdym przynajmniej i głębokim nacjonalizmie, a zwłaszcza w nacjonalizmie literatury, musi istnieć wszystkie najbliższe pierwiastki ogólnoludzkie równie odczuwane i bliskie każdemu człowiekowi. Nie tematyka międzynarodowa umożliwiłaby wprowadzenie literatury polskiej na arenę świata, ale umiejętność ukazania cudzoziemcom jej pierwiastków ludzkich, które właśnie w spotęgowaniu uczuć narodowych znalazły w literaturze polskiej swój wyraz specjalnie ciekawy i głęboki. Oczywiście, że ci, którzyby pragnęli rozpowszechnić literaturę polską, musieliby przede wszystkim umieć uchwytać i wskazać te pierwiastki literatury polskiej, nie będące naszą tylko wewnętrzną własnością, do której jesteśmy najściślej przywiązani, ale te właśnie pierwiastki, które mogą i stanowią własność ogólnoludzką.

Wydarzeniem niezmiernie doniosłym, które nam samym odkrywa drogę wprowadzenia literatury polskiej na płaszczyznę międzynarodową jest bez wątpienia wydanie ostatnio w Anglii — „Antologia Poezji Polskiej” *) — w tłumaczeniu na język angielski. Książka ta licząca ponad 400 stron, obejmująca rzeczywiście wielką część najcenniejszych fragmentów poezji polskiej, do której zresztą autorzy antologii włączają właśnie fragmenty prozy Stefana Żeromskiego. Od czasu wydania przed wojną przez Paul Cazaia „Pana Tadeusza” w przekładzie na język francuski, jest to pierwsza wielka impreza literacka, która umożliwiła rozpowszechnienie polskiej twórczości literackiej.

*) „A Polish Anthology” selected by T. M. Filip, translated by M. A. Michael, Duckworth, 3 Henrietta Street London W. C. 2. 1944 r. („Moja Ojczyzna — Polszczyzna” wybór poezji polskiej z utworów Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, Żeromskiego i innych.

Antologia została opracowana przez dwóch Anglików zamierzających w poezji polskiej. Z całej książki bije entuzjazm i uczucie szczerzego i głębokiego zachwytu tych dwóch cudzoziemców, którzy nagłe odkryli wielką a nieznaną poezję polską. Głównym autorem Antologii jest M. A. Michael, który dokonał wszystkich przekładów i zapożyczył książkę wyczerpującym, ciekawym wstępem.

Jest to impreza na wskroś oryginalna, do której nie jesteśmy przyzwyczajeni, ponieważ w wydawnictwie i opracowaniu tej książki nie brały udziału żadne czynniki propagandowe polskie. Stąd też układ książki i wybór utworów zasłochy z pewnością czytelników polskich.

Zaraz na wstępie, M. A. Michael wskazuje, że nie jest to pierwsza antologia poezji polskiej w języku angielskim. Sto siedemdziesiąt lat temu ukazała się w Stanach Zjednoczonych antologia polskiej poezji wydana przez John Bowringa pt. „Specimens of the Polish Poets, with notes and observations on the Literature of Poland”. Już wtedy więc, kiedy nie było jeszcze ani Mickiewicza, ani Słowackiego, ani tylu innych, istniało zainteresowanie dla polskiej twórczości literackiej i uznanie, które przejawiało się w opublikowaniu obszernej antologii. Dostojna znajomość literatury polskiej i jej spraw i pasja zachwyconego odkrywcy bije z kart tego wstępu, w którym autor oprócz wyjaśnień dotyczących wydania samej antologii zamieszcza jeszcze szereg cennych informacji o historii Polski, strukturze jej języka i twórczości literackiej, na podstawie źródeł własnych i encyklopedycznych. Pisząc o literaturze polskiej

SYLWESTER MORA

Dokumentalne filmy

Nie tak dawno wyświetlano w dwóch kinach Rzymu dokumentalny film produkcji 1943 „Bitwa o sowiecką Ukrainę”.

Nie zamierzam pisać recenzji. Pragnąłbym raczej rzucić kilka uwag, które nasuwają się widzowi znającemu Rosję, a oglądającym rzeczywistość sowiecką — tym razem na ekranie.

„Bitwa o sowiecką Ukrainę” rozpoczyna się szeregiem obrazów szczęśliwej Ukrainy z roku 1940, ciągnącej się po „Karpaty i Dunaj”, oczekującej od siedmiu wieków na ziszczenie się snu wyzwolenia zachodniej jej części, cierpiącej pod jarzmem jedyńcych wrogów — Polaków. Tak przynajmniej podaje — w języku włoskim — interpreter. By nie było wątpliwości akcentuje dwukrotnie słowo „Polacy”.

Stępy i jary, oraz drzemające w ich korytach wioski ukraińskie o czystych, schludnych, świeżo wybielonych domkach krytych słomą. Miasta ze „szczyliwą” ludnością i maszerującymi ze śpiewem Huculi. (Ostatnio widziałem barwny strój huculski w wioziciu charkowskim. Nosił go stale, nie bącząc na docinki Rosjan, autentyczny Hucul, poseł na Sejm Rzeczypospolitej, p. Szenkiryk).

Obrazy żniw, winobrania, firm ptasich i wesołe, schludnie ubrane dziewczęta ukraińskie wychodzą z śpiewem na ustach do pracy. Sylwetka pomnika jakiegoś świętego z krzyżem. Ukraiński poeta deklamuje wiersz o szczęściu i pięknie swego kraju.

Połem Ukraina płonie. Spiją się bomby z samolotów niemieckich. Armia czerwona oraz ludność cywilna ciągną na wschód, unosząc ze sobą sprzęt i dobytek. Na Ukrainie panoszą się Niemcy, dokonujący mordów i zniszczenia.

Nachodzi rok wyzwolenia — rok 1943. Z orzykami, „za ojczyznę! Za Stalina!” walczą żołnierze sowieccy, wypierając Niemców. W uwolnionych miejscowościach ludność wita go z entuzjazmem i łzami szczęścia w oczach.

Na pierśniami jednej z kobiet duży — biskupi chyba — krzyż. Kraj jest wyniszczony. Brak sprzętów rolniczych, brak traktorów i maszyn. Zastępuje je przymityw siewby ręcznej. Trzy kobiety ciągną ciężką drewnianą bronę.

Na Poluśiu i Wołyniu działają „partyzanci”. Pomagają im „czechopolacy”. Jakaś nowa znać narodowości. Na czele „partyzantów” stynny Korsak, bohater Związku sowieckiego, o rysach wyraźnych nie rosyjskich, ani „czechopskich”. Współdziała

zaznacza, że antologia jego wcale nie daje obrazu poezji polskiej, że jest to zaletwie „smielnactwo” wybrana z obryzmy bogactwa twórczości polskiej. Szczególną uwagę poświęca zwraca M. A. Michael na twórczość K. C. Norwida, którego uważa za jednego z największych poetów, nie tylko polskich, ale całego świata, którego nowość poezji może być dla czytelników angielskich pasjonującym odkryciem.

Uderzającym jest smakoszostwo literackie autora, które przejawia się w samym wyborze i układzie utworów zamieszczonych w antologii. Książka podzielona jest na dwie części, z których pierwsza nosi tytuł: „Muza białkittna”, druga zaś „Muza szkarłatna”. Część pierwsza poświęcona jest polskiej poezji opiewanej, lirycznej i erotycznej, dzieci sił ona skolei na trzy rozdziały, których tytuły są często skrócone wzięte z najcenniejszych sformułowań politycznych. Tak np. pierwszy rozdział obejmujący fragmenty opiewanej poezji Mickiewicza („Pan Tadeusz”), Słowackiego („Ballady”), Beniowskiego („Maria”), Kochanowskiego („Na lipę”), Żeromskiego („Popioły”) — zatytułowany jest: „Piórem pawim umazanym w niebie!”

Dalej zaś rozdział obejmujący „Czarne i białe kwiaty” Norwida oraz fragmenty „Beniowskiego” Słowackiego zatytułowany jest: „Stuchem Anioła i myślą Anioła”. Poszczególne zaś utwory zamieszczone w każdym rozdziale, jeżeli są fragmentami całości, noszą tytuły z cenniejszych wyjątków danego utworu. Tak np. fragment II pieśni „Beniowskiego” zatytułowany jest: „Podoleńskie są usta srebrną lirą”.

Wraz z innymi „partyzantami” został zrzucony na spadochronie.

O okrucieństwach Niemców świadczą szereg trupów. Jest ich bardzo dużo. Ukazuje się je z dokładnością więcej niż realistyczną. Pojedynczo i zbiorowo. W pewnej miejscowości odbywał się musiała potworna masakra, bo trupy leżą w długim rowie, ułożone w szeregi. Czy przedstawienie tego systemu grabienia ofiar ma nasunąć widzowi myśl, że jest on wyjątkiem niemieckim?

W uwolnionym miasteczku wylężą się schronu dzieci. Jedno nagie, opuchnięte, na rękach matki. Ta opuchlina — to chyba głodowa. Nie ma chyba człowieka, któryby obojętnie patrzył na tragedię dzieci, na ich cierpienia. Zdążyć już świat oświeci się z wieloma okrucieństwami, lecz nie upadł jeszcze tak nisko, by bez zmużenia aka przejść nad nieszczęściem dzieci — ofiar wojny.

Był tylko jeden wypadek, kiedy przemilczano i przemilcza się nadal genmę dziecka. Nie mamy dokumentalnego filmu, któryby utrwalił historię dziecka polskiego na stepach Kazachstanu i w śniegach Sybiru. I nie tylko polskiego, bo wspólnie z nim marły z chorób i głodu dzieci ukraińskie, żydowskie i białoruskie.

O spustoszeniu, jakiego dokonali Niemcy, mówią z ekranu czterej świadkowie: nauczyciel, profesor, lekarz, sierzant i kobieta. Sprawia to wrażenie wyuczonej lekcji. Nie kwestionują prawdziwości opowiadania, lecz po uprzednim przedstawieniu ruin, zgłiszcz i tyłu trupów, scena ta wydaje się zbędna. Efekt — raczej nikły, zwłaszcza, jeśli wierzmy pod uwagę, że ci obywateli „niepodległej” republiki ukraińskiej mówią — po rosyjsku. Przynajmniej zaczynają mówić; później głos ich zastępuje wersja włoska.

Ukraina wstępuje do odbudowy. Grzebie ofiary wojny. Pop ze stłą narzuczoną na białuśką komżę mōdli się za zmarłych. Tymczasem w uwolnionym miasteczku odbywa się wiec. Ludzie niosą transparent z napisem w języku ukraińskim: „Chwała naszemu (ridnemu) Stalinowi!”

Podobne zakończenie miał inny film sowiecki, który oglądałem rok temu w Jerolimie. „Stalingrad” — również dokumentalnej produkcji 1942-43. Tyle miej-

(Dokończenie art. na str. 12)

*) Gen. Watutin zmarł w bież. roku w Kijowie.

Część pierwszą zamyka „Pocmat Najbłkittniejszy” — „W Szwarzarii” J. Słowackiego przetłóżony w całości.

Część druga — „Muza Szkarłatna” obejmująca poezję Polski zachwyt, poezję jej tragedii, wlotów i upadków. Poszczególne rozdziały noszą tytuły: „Teżca zachwytu”, „Popioły”, „Siła Fatalna”, „Piómiemie”, „Przedwiośnie”. Całość zamyka — „Bez czerwonego kontusza” — poemat najszkarłatniejszy — „Grób Agamemnona — J. Słowackiego.

Antologia zawiera tekst polski i obok tekst angielski. Będzie więc ona dla wielu Polaków bezcennym źródłem własnej twórczości, co zwłaszcza dla żołnierzy walczących, bez możliwości dostępu do książek polskich i bibliotek, ma ogromne znaczenie.

Przekład angielski łączy w sobie próbę najcenniejszego oddania literackiego wyrazu utworów, z możliwością największą dokładnością językową. Tłómaczenia są pisane przeważnie rytmicznie, poetyczną prozą, czasami wierszem. W niektórych przekładach M. A. Michael osiągnął duże mistrzostwo. Oto jak brzmią pierwsze strofy „Grób Agamemnona”:

(„Niech fantastycznie lutnia nastrojona
Wtórnie myśli posępnej i ciemnej;
Bom, oto wstał w grób Agamemnona
I siędzie cichy w kopule podziemnej.
Co krwawą Atrydów spłamiona okrutną
Serce zasnęło, lecz śni — jak mi smutno!)
Oto tekst angielski:

Let a lyre strung with fantasy accompany
my dark
and gloomy thoughts, for, see, I have descended into
Agamemnon's tomb and sit silent in its
subterranean
domc, that is stained with thy cruel blood
of the Atidae.

My heart has fallen asleep, yet it dreams —
How sad am I!

Albo też fragment z „Pogrzebu Kazimierza Wielkiego” St. Wyspiańskiego:

Idą posępni
a grają im dzwony
ze wszystkich kościołów
a grają im dzwony
żałobne.

Idą posępni
a niosą korony
ozdobne,
mistrzane, a dla nich
ciągną jak ołęż jak ołęż,
korony czerniałe,
pogrobne

Grimly, gravely they came
the bells start a — tolling
from tower and steeple,
a — tolling a dirge
funereal.

Grimly, gravely they came
and bear in their hands
his crowns ceremonial,
that wrought though so finely,
yet weight as if leaden,
from tombs they came tarnished,
sepulchral.

Ze współczesnych poetów polskich znajdując się w Antologii utwory M. Pawlikowskiej, Tuwima, Hemara. Wydaje się, że autor antologii popiełnił tutaj powinność. Książka byłaby o wiele bardziej skończoną całością, gdyby obejmowała jedynie utwory najbardziej klasycznej polskiej poezji. Utwory Tuwima, Hemara, niezbyt szczęśliwie zresztą wybrane, nie leżą w atmosferze tej książki, nie mówiąc już o tym, że w ten sposób zostały pominięte tak ciekawe i ważne pozycje poezji polskiej, jak Kasprovice, Staff, Wierzyński, Leśmian, Baliński i wielu innych. Ta strona wymaga specjalnego opracowania. Autor zresztą usprawiedliwia się na wstępie trudnością w udzieleniu tekstów.

Książka jest dziełem pracy wielkiej i oryginalnej. M. A. Michael włożył w nią tyle entuzjazmu i głębokiego wyczuwania wartości kulturalnych, że można mieć nadzieję, iż przebieże choć w części ten mur, który odgradzał dotąd naszą twórczość literacką od reszty świata.

Czytelnikowi polskiemu wskazuję drogę, po której winna iść propaganda twórczości polskiej za granicą. Dla niejednego zaś Polaka będzie ona zapewne krzepiącym odkryciem siły i wielkości własnej kultury. Książkę tę opracowywał autor, oficer armii angielskiej w chwilach wolnych od zajęć służbowych i w czasie pobytu w szpitalu. Przekonywa to nas jeszcze raz dobitnie, że wojna może być okresem, w którym muza nie milknie i nie milknie twórczość kulturalna.

MELCHIOR WAŃKOWICZ

To tu, na Drodze Polskich Saperów, przedwczorajszej nocy... wczorajszego dnia... Zatory, strącające czołgi i działka, miażdżeni ranni, idące do ataku bataliony, zabijani...

Teraz Droga — pusta. Czasem przemknie łazik — migśnie bładą tyczką pod suniętym hełmem, kresa zaciętych ust — opamiętanie. Bo w Drogę — bliżej.

Dopiero po chwili pełzający pod górę szowalek wyznawca się zaczyna w życiu Drogi. Na prawo ukleciłi sobie schron żandarmi i... regulują ruch. Bo Droga — w tej minucie pusta — w następnej może spęcznieć w nieprawdopodobne wehikuły i nieprawdopodobnych turystów. Ci żandarmi, którzy na niej regulowali ruch w te dni — przeszli stąd regulacji ruchu w piekło na imieniny Bełzebuba.

Na lewo, w car-parcu, aż roi się pod siatkami maskowniczymi, pod każdym kamyczkiem.

Na prawo, gdzie wejście do jarów A i B. — pnie się do stromej pęknięcie ziemi ciepła przylutność zasiedlenia ludzkiego; tak myślowy, pochylwszy ucho do nory, czuje przyścisłość zatajonego zwierzęcia i jego szyszkę bicie serca.

Jak spojrzeć w oczy tym ludziom, którzy wszystko to siebie dali? Do jakich słów, do jakiej postawy psychicznej, do jakich umocnień na duchu, do jakich pocieszeń jestem uprawniony, człowiek siedzący w miejscach spokojnych, kiedy oni się tu krwawili?

Pocisk rąbnął — za blisko. „Przypikowaliśmy” pod ścianą i nagle za workami odkryłem ciekłe gniazdo ludzi. Podnieśli na mnie nosy czarne od jakiejś sadzy. Wyglądali nieco jak pisklika, które otwierają dzioby.

— Czy klasztor już zajęty?

Wstają we mnie żalostki, której gorczyca i teraz, kiedy wiem, że z niczego nie rezygnujemy, nie może usunąć. Żalostki września. Kiedy na drogach ucieczki pytali ludzie, czy prawda, że przyleciało sześćset samolotów angielskich, czy prawda, że pancerna dywizja niemiecka wyprzedziła na naszych polach mowuch.

Na tej Drodze, pełnej zaduchu trupiego i swądu spaleniżny — panowała czysta i rzeka atmosfera wierzących i walczących pierwszych dni wrześniowych. **)

Kilka twarzy z planami sadzy na nosach, podnieśli nosy ku mnie z nad worków — dziwnie przypomniały rozdwójne dzioby pskła.

Jeśli gdzie są i żyją, jeśli trafił im do rąk ta książka — niechże ją przyjmą ode mnie jako nowiżkę za wiadomości zbyt nikłe, za potępienie zbyt małe, jakie mogliem dać wówczas.

Droga się wypętrza. Tu jest punkt, w którym na bamulach rącznych wisiał trzymany miedziowymi rękami czołg, nim po dwóch godzinach runął w przepaść. Wzlewno w dół z tej przepaści teraz dochodzi huk — to moździerze Karpackie. Cennie to pociski — dostawiane samochodami ciężkimi, potem lekkimi, wreszcie znozione przez noszących ją ciężką przemyślnie przeprowadzoną przez saperów.

Moździerze Kresowej Dywizji mają stanowiska od Drogi w prawo, a więc w górę. Jest to jar C. Jar pnie się strzemiżną 60 stopni. Żołnierze — siedzący w nim po wczorajszej masakrze, z trudnością znajdują żatoki o tyle o ile płaskie, by się nie zsuwać. Trzeba podbierać nogi — śródkiem przepycha się charkot i trzęszenie krwawego trudu noszących amunicji.

Jest rozpacz z załatwianiem potrzeb fizjologicznych. Poczuciano żołnierzy, żeby postawili się blazankami po konserwach, ale blazanki nie ma gdzie wyrzucić. „Pocisk się rozwał” — opowiada jeden z żołnierzy — „coś poleciało na głowę — myślę, że mnie trzasnę odłamek, ale to na szczęście było g... od tych wyżej”.

Chłopak z p-panców, które w tej bitwie nie miały zastosowania i poszły do służb pomocniczych, zsuwa się właśnie z jaru. Z podkoszulka, który był białym, wyra-

*) Fragmenty z książki o Monte Cassino.

**) Przypisek po bitwie: Czytaniem listy wysyłane w tych dniach — po odparciu naszego ataku, w tych dniach, kiedy oczy żołnierza widziały tylko nieskończoność szeregów sanitarek i kiedy żołnierzy orientowały się już — że nie posiadamy naprzód. Zabawny naród ci Polacy! — wybuchła, wędry, w dni kleski, — istna gaskonada listów. „Albo wszyscy przepadliśmy, albo półdzimie naprzód!...”. Wszystko równo ich dostało — nie może inaczej być” (list do żony w Afryce). „To coś, że były strąty; nie można cagle wierzyć w cuda; a zresztą za cuda trzeba też płacić”.

ODGINANIE SIĘ*)

sta prosta lodyga szyi opalonej na brąz, konary ramion powiązanych węzłami muskulów.

Chłopak łuduje w nosidła, które ma na plecach naboje do ciężkiego moździerza. Pójdzie teraz — dwudziesty raz z takim ciężarem.

— Nie odpocznieś?

— Lokciem stari pot spływający na oczy. Oczy wyjrzały — dobre i mocne. Uśmiechnął się szeroko:

— Tydzień już tak nosimy — pogładził opakowanie — to najlepsza odpowiedź: „Wandzie”.

Kto był w te dni między żołnierzami, będzie na cacie życie widział więcej coś o Polakach, niż inni; będzie się czuł z nimi bliżej — tak blisko jak w tym jarze, w którym ze wszystkich stron wyciągały się do przybysza manierki — z ich nędzarskimi racjami wody.

Jak wygląda nowa sytuacja?

Tuż przy jarze moździerowym Kresowej mieści się dowództwo Wileńskie, w którym kwatery sobie obrał pik. R., dowodzący całością.

Ta „kwatery” — to grota kuta w skałce, obłożona workami.

M.p. dowódcy Lwowski jest palcem wobec tego schronu. Ale bo też inaczej nie można dowodzić z punktu na tej Drodze Saperów, dzień i noc obkładanego ogniem.

Kiedy przybył wczoraj pik R. zastał w dowództwie przy całkowitym opanowaniu duże przynębienie.

Z pozycyi batalionu, N. meldują się dowódcy batalionów, które były na Widmie.

Jaka sytuacja? — Nikt się nie orientuje. Ogień szalony. Ze zbrocy spływa masa ludzi — pokrwawionych, zdemoralizowanych.

Niemieckie patrole podobno weszły na 706. To już na tyłach tego czegoś, co się trzyma wiatką funką jako przesłony baon. Do nieubezpieczonych gniazd naszych moździerzy podsuwali się Niemcy na 100 metrów. Moździerze zanosiły się jak zanoszą się szczeniakiem wiejskie psy, kiedy podchodził obcy. Strzelali już całą noc — lufy były tak rozpalone, że dodatkowe ładunki, mające wzmocnić pocisk, zapalały się i pocisk nie miał siły. Chłopcy wylali na lufy z manierek swoje nędzarskie porcje wody, a kiedy jej nie stało, mocz zbierano do puszek jak skarb.

To wtedy — poszedł przeciw fali uciekających, przeciw fali rannych, przeciw fali tatarskich wieści — batalion X...

Wydawasz pierwsze zarządzenie, począł dowódca korpusu formułować ocenę sytuacji.

Rozmiary niepowodzenia nie są tak dotkliwie, jak się początkowo wydawało.

Trzy baony są zupełnie świeże, dwa baony i trzy pułki kaw. Nie brały bezpośredniego udziału w natarciu. Ale trzeba uderzać, nie dać opamiętać się nieprzyjacielowi.

Niemcy też ponieśli ogromne straty, jeńcy to potwierdzają jednogłośnie. *)

Dzisiaj rano Niemcy ruszyli wprawdzie do natarcia. Nasza artyleria pomarudziła chwilkę — i jak plunął!... Z czystym sercem — swoich na przedpoju nie było. Nic! wyszły z natarcia.

Lotnictwo też dzisiaj sprawiła się — pierwsza klasa. Od godziny 9 minut 30 do samego wieczora szła co pół godziny fala za falą, 149 lotów na ty dokucziła ciężką artylerię niemiecką w rejonie Attina-Beimonte. Zaobserwowano cztery wybuchy amunicji i artyleria zmilkła. Na moździerze na Passo Corno 39 lotów, na ruchy podejrzane w rejonie S. Lucia, gdzie Niemcy coś starali się ukryć. Zdaniem — 20 lotów, na Klasztor 39 lotów.

Alfanci widzą nasz wysiłek, deceniają zadanie, współczują stratom.

Nie, nie ma mowy o załamaniu. Jest mowa — o marszu wpród.

I dowódca natarcia prawoskrzydłowego, pik R. każe artylerii wstrzelować się do bunkrów, pchiechcie wytyczkę ścieżki i zorganizować patrole szturmowe.

U czołgów „na jeża”

Z dowództwa już nie tak daleko do Gardziel — miejsca wczorajszej bitwy o nią. Nie bardzo daleko, ale b. stroni. Pod ścianą, nakryte kocem, leży ciało zmiażdżone przez czołg por. Jurkowskiego.

Czołgi zmasowały się na tzw. Zbiku — plateau.

Plateau — to plac rudej portej gąsienicy.

*) Przypisek po bitwie: W czasie walk o Piedimonte, kiedy zajęliśmy S. Lucia, widziałem oryginalny cmentarz niemiecki. Świeżółko ustawione krzyże nosiły pod nazwiskami poległych ten sam ich przydział — 3 baon i go spadochronowego pułku i na każdym krzyżu te same dane śmierci — 12 maj 1941 r.

Kiedy począł się nawala — ten wybity do nogi batalion wspiął się od S. Lucia po zboczu S. Angelo, aby złuzować 2-gi batalion 100-go wysokogórskiego pułku 5-cj dywizji niemieckiej.

Przy przysrzucaniu się przed godziną „H” na S. Angelo nasz PAC wydłubił coraz bardziej ogień na próby naszej piechoty, siedzącej na wyższym od S. Angelo 706, piechota bowiem skarzyła się, że pułap jest za niski. Artylerzyści sarkali „Panu Bogu w okno mamy strzelać”, ale celownicy przedłużano go zostają i zniszczyli ów drapiący się pod górę batalion.

DOKUMENTALNE FILMY

(Dokoliczenie ze str. 11)

sea poświęcono tam obrazom mas jeńców niemieckich, że dziwić się należy, iż nie nosi tytułu „Vae victis”. To nie „Desert Victory”, gdzie migawki zwycięstwa błąsają tylko na moment wśród potężnego wysiłku VIII Armii. Armia Czerwona upaja się widokiem nędzy jeńców niemieckich, widokiem upokorzonego marszałka Paulusa. Rannego jeńca włożą żołnierze sowieccy po ziemi i kopią. Widok odzianego w strzępy lachmanów Fryca, przekraczającego okrytą lodem Wołgę, pozostawia w uwiadze niesmak. Ten człowiek zginie w obozie jeńców. Aby nie było złudzeń, ukazano oboz, w którym Niemcy wymordowali jeńców rosyjskich. Długi korowód trupów. Armia Paulusa zginie prawem odwetu. Po-wiedziano to zresztą wyraźnie w książce „Stalingrad”, która pojawiła się prawie równocześnie z filmem na rynku książkarskim:

„Upłynęło nieco czasu i z groźnej armii Paulusa nie pozostanie ani jeden najbardziej zasargany gefreiter”.

Widzimy też na filmie „Stalingrad” cmentarz niemiecki. Niekończące się szeregi krzyżów. Jeden widok wyraźnie. Na nim tabliczka z nazwiskiem: Adolf Zdrowski.

Gehenna polskiego rekruta zaciągającego przemocą do wojska niemieckiego kupcy

propaganda sowiecka, podobnie jak kupcy na dr Goebbls, cytujący cyfry wcielonych w ten sam sposób do Armii Czerwonej imiodych obywateli polskich.

Film kończy się słowami pieśni śpiewanej przez maszerujących żołnierzy sowieckich:

„Chwała Stalinowi, chwala na wieki!”

Tak chyba w tłumaczeniu polskim wyglądają słowa: „Sława Stalinu, sława wo-wiek!”

Jak bardzo przypomina to apoteozę carów i jak bardzo potwierdza tezę, że bolszewizm stał się religią...

Ten krzyż na piersiach kobiety, ów pop w suttanie, to obrazki na eksport: dla zagranicznych lektoduchów zaparowanych w zorzę nowej Rosji, w której „nastąpiły ostatnio poważne zmiany”, dla wewnętrznego natomiast użytku: procesja portretów bolszewickich świętych i nowy kult Ozrysa.

Trudno mi nazwać oba filmy dokumentalnymi. Pomimo, iż zdają sobie sprawę, jaką tragedię przeżył na froncie ukraińskim żołnierz sowiecki, ile wycierpieć musiałia ludność Ukrainy, nie mogą oprzeć się wrażeń, że dokumenty, które niewątpliwie stanowią rzadką kanwę filmu, giną w morzu zwyczajnej propagandy.

Sylwester Mora

nicami i pociskami ziemi. Czołgi na tym placu przypominają jak jakiś film fantastyczny, widziany przed laty: zachowała się wyspa z fauną z czasów przedpotopowych. Zbłąkany na nią turysta widzi polankę z pasącymi się ichiozaurami. Kiedy które z monster zbliża się w jego stronę, ogarnia go przerażenie.

Czołgi stoją spokojnie, ale przeraża coś innego, hulającego po polanie — wybuchy. Chodzą stadkami. Własnie rzyje grunt między drogą, z której się idzie a czołgami. Połem seria się przenosiła za czołgi. Można więc iść.

Bractwo pancerne porobiło sobie dotki pod czołgami i siedzą względnie bezpiecznie.

Ppor. Żołnierzcyk *) i ppor. P. robią honory domu. Przesłali tu całą noc po akcji i są niespokojni, bo nie czują przed sobą piechoty.

Ppor. Żołnierzcyk wskazuje głową odzianą w hełm, w którym posiek zostawia wgnębienie, na domek, odległy o jakie 200 metrów — stamąd dziś ostrzelał ich świetlnymi pociskami patrol niemiecki.

Kolejna seria kładzie się między nami i domkiem, wyrzucając żółte fontanny gliny.

— Tak ciągle — mówi ppor. P. — ale nie to jest najgorsze — to można przeczekiwać pod czołgami; najgorsze dla czołgów, to jest brak osłony. Czołg jest w nocy ślepy. A tu niewiadomo, gdzie się nieprzyjacieli. Cóż! Noć nie pukali zmaserowej świetlnymi pociskami po naszej stronie, kierując ogniem swoich moździerzy. Podobno szukają ich po krzakach, ale bezskutecznie.

— Wogóle teren jest dziki i nieczyj — mówi ppor. Żołnierzcyk; dziś w nocy widzimy o tam, o kilkadziesiąt metrów — ktoś idzie; zbliża się — macha chustką, okazało się, że nasz chłopak, który uciekł z niewoli.

I tak tu tkwią, ubezpieczając się sami jak mogą. Mają tę świadomość, że reprezentują siłę ognia trzydziestu dział. Zeby nie wprowadzili tu czołgów, niemieckie natarcie poszoby za cofającymi się batalionami i to, co jest tylko nieudany natarciem, przerodziłoby się w porażkę.

Zegnam się, bo i im pilno zapewne pod czołgi i się chociażby w górę. Leje tak wielkie, że cały czołg w nich się skryć może, które tu zostawia ciężka artyleria, bijąca o 12 kilometrów z Attiny, mówią, że nie ma co tu poza czołgiem wystawać. Noca ciężki pocisk pchnął czołg dowódcy — dowódca obudził się i wymyślał... „co tam za balwan najeżdża”.

— A może pan chce się widzieć z dowódcą?

— Ale ja wolę być za górką. I nie poznałem kpt. Iwanowiczego, który w drugim natarciu poległ.

Kiedy odchodzę z godnością — że to niby późno, musimy być za światła w dywizji. Bo się tam bez mnie nie obejdzą i naturalnie tylko dlatego nie przedłużym tego przyjemnego pikniku na polance — nowe serie idą na „Zbiku”. Czołgi już mają kilka chłodnic rozbitych; może teraz znowu trzasnęło którą. Na szczęście naszych chłopców nie trzasnęło — siedzą sobie pewno pod czołgami i są radzi, że nie potrzebują świadczyć honorów domu ciekawskim — niech ich szlag trafi!

Wojujemy dalej

Kiedy schodzę w dół ku dowództwu Wileńskiemu, pik R., który, kiedy odchodziłem, potoczył się zderznął, już czuwa.

Już częściowo rozpoznaliśmy — odkryły się źródła ogni nieprzyjacielskich.

Czołgi stoją na górze — strzegą.

Chwila jest przedwczesna. Dają mi luzika do powrotu. Zegnąjąc się z pik. R. patrzę chwiej — tak się nigdy nie patrzy na ludzi jak w bitwie. A może to tylko ja tak patrzę — z obowiązką sprawozdawcy. Zawsze myślę, że może już nie zobaczę tego człowieka nigdy — jak pożegnającego przed chwilą ppor. Żołnierzcyka. I staram się odgadnąć — co myśli ten człowiek.

Przypominam sobie, co mówić — o ostatniej odprawie swego pułku w dzień kaptulacji Warszawy... Konie stały podłane, a dwaj pomocnicy przyšli się przed nim mieldując, że nie usłuchają rozkazu, że zasargują.

Wówczas — musiał tłumić ten porw. Teraz — Bóg dać czas ciężki, ale inny.

I wiem, że ten oparty o skałę człowiek — zasarguje.

*) Ppor. Żołnierzcyk poległ w dniu następnym.